Nr. 1. Kraków, Styczeń 1917. Rok XI.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU I-go:

Anielski hymn pokoju wśród wojny.

Gdy dla świata wybiła godzina miłosierdzia Bożego i Syn Boży, przybrawszy na się postać ludzką, zjawił się na tym padole płaczu, by Swą boską nauką i krwią Swej męki pojednać zagniewane Niebo z grzeszną ziemią, wówczas nad betlejemską stajenką rozbrzmiał śpiew: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“ Te natchnione sługom Bożym przez Ducha św. słowa, wyraziły w swej treści całą doniosłość tego wielkiego zdarzenia, przez które dokonywała się odnowa upadłego świata: w chwale Boga i pokoju ludzi.

Skoro bowiem człowiek przez grzech zbuntował się przeciwko Bogu, a Bóg przeniewiercę od Siebie odrzucił, nie śmiał już wtedy stawać jako kapłan ziemi na czele wszego stworzenia i tego, co ono w wiernem, ale bezwiednem pełnieniu woli Bożej czyniło, wyrażać rozumnem słowem: „Bądź pochwalon Boże wielki!“ Odtąd modlitwa i ofiara grzesznego człowieka, przybrała pokutniczy nastrój i wyrażała się w nieustannem błaganiu: „Zmiłuj się nade mną Boże, według wielkiego miłosierdzia Twego“. I przez długie, długie wieki jeno tem pokutniczem: „Zmiłuj się nade mną Boże“ brzmiała ziemia, a słowa „Chwała na wysokościach Bogu“, ważyła się dopiero wtedy wyrzec, gdy się dokonało dla niej Odkupienie.

Oto na początku mszy św., która jest nieustannem powtórzeniem krzyżowej ofiary Zbawiciela, śpiewa się odtąd ciągle pochwalny hymn: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“. I zawsze tak nierozerwalnie łączy Kościół św. w tym hymnie „chwałę Boga“ — z „pokojem ludzi dobrej woli“. I słusznie: wszak jedno drugiem się dopełnia. Skoro bowiem chwała Boża ustawa, to i pokoju ludziom braknie. Człowiek buntując się przeciw swemu Stwórcy i Panu służby swoje Mu wypowiedział i chwałę Jego głosić przestał, a sobie jeno służyć począwszy, zakłócił sobie życie strasznym niepokojem. Gdy bowiem siebie w miejsce Boga postawił, a wszystko dobro ziemskie na

swą wyłączną chwalę zagarniał, stał się w tych samolubnych służbach chciwym, zazdrosnym, zmysłowym, a ważąc się na najohydniejszą zbrodnię dla zaspokojenia pragnień swego grzesznego serca, sprowadził straszne wojny na ziemię. Ponieważ jeszcze zapomniał o tem, iż to serce, dla Boga stworzone, w Bogu jedynie najść może „odpocznienie" i tego „odpocznienia" poza Bogiem szukał, nie ustawała na ziemi nigdy wojna, bo serca ludzkiego nic nasycić nie mogło i raz wraz nowe rzeczy dłań krwawo zdobywać trzeba było. Stał się wtedy świat podobny do wzburzonego morza, gdzie fale idą i wracają i tłuką się jedna o drugą, pienią w strasznej zawiści, a z pośród tego morza raz wraz odzywały się rozpaczliwe głosy: „p o k ó j, p o k ó j, a n i e b y ł o p o k o j u (Jerem.), dopóty, dopóki nie zabrzmiał na ziemi ów anielski hymn: „C h w a ł a n a w y s o k o ś c i B o g u, a n a z i e m i p o k ó j l u d z i o m d o b r e j w o l i!" Wtedy to bowiem Zbawiciel przywrócił swem dziełem Odkupienia na świecie ów odwieczny porządek, w którym jedynie pokój mógł zapanować, gdy, odrodzona z grzechu „wola ludzka" znów stała się „dobrą" i ku „chwale Bogu" działać poczęła. „W s z y s t k o b o w i e m d l a s i e b i e z d z i a ł a ł P a n (Przyp.) i wtedy tylko w błogiej szczęśliwości i pokoju trwać może ludzkość, gdy w swej „dobrej woli" spełni wiernie Boże przykazania, a tak „chwałę Bogu" w powinnej dani przyniesie.

Skażone jednak grzechem ludzkie serce raz wraz o tej prawdzie przepomina i niechając służenia dla chwały Boga, za własną chwałą wciąż się ogląda. Ledwie atoli to przeniewiercze działanie pocznie, wnet popada w odmęt tego strasznego niepokoju, w którym z taką rozpaczą woła: „pokój, pokój" i niemasz dlań znowu dopóty pokoju, dopóki nie pocznie owego zasadniczego obowiązku życia na ziemi: służenia chwale Boga w dobrej woli. Jasnym przykładem tej odwiecznej prawdy, to obecna wojna, do której przywiodła ludzkość bezbożność ostatnich dziesiątków lat, kiedy to ohydnem samolubstwem znieprawiły się serca i o chwale Boga ni wspomnieć nie chciały. Zakłócił się przeto w świecie ten porządek, który „przez dobrą wolę ludzi w chwale Boga" się wypowiada że ludzkość popada znowu w ten krwawy odmęt, z którego rozpaczliwie teraz woła „pokój, pokój", a nie będzie dla niej pokoju, gdy do owego porządku życia nie wróci.

Zygmunt Krasiński, który własnym duchem przeczuł był ten dzisiejszy zamęt wojny i w proroczem natchnieniu widział w nim zmartwychwstanie Polski, tak śpiewa w „psalmie dobrej woli":

„Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami
Daj, nam o Panie świętymi czynami
Śród sądu tego — samych wskrzesić siebie".

Przejrzawszy potęgą swego ducha sprawę dziejów świata i Polski, wyrzeka poeta tę ostateczną prawdę, że bez nas samych Bóg nas nie zbawi. „Pokój wolności zyskać możemy jedyne tymi „świętymi czynami", z których „chwała Bogu" rośnie. To też o możność pełnienia tych „świętych czynów" tak nam modlić się każe:

„Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę "

Wtedy bowiem, gdy z tej „dobrej' woli wyniknie „chwała na wysokości Bogu", nastanie „pokój ludziom" w wolności i dobrobycie doczesnego życia ku wiecznemu zbawieniu.

Ojciec św. Benedykt XV. pośrednikiem pokoju.

Nie da się zaprzeczyć, że wybuch strasznej wojny europejskiej przyspieszył zgon świątobliwego papieża Piusa X.

Jego następca Benedykt XV od początku swoich rządów czynił nieustannie heroiczne wysiłki, ażeby co rychlej położyć kres nieszczęsnej wojnie. Jeszcze w listopadzie 1914 roku ogłosił pierwszą swoją encyklikę w sprawie pokoju, potem za niedługo ogłasza modlitwę o uproszenie pokoju: w pierwszą rocznicę wybuchu wojny wydaje gorące i pełne podniosłej powagi orędzie do panujących z wezwaniem do pokoju. Wszczyna akcyę, pomyślaną na wielką skalę, celem ulżenia niedoli kalek i jeńców wojennych. W drugą rocznicę wojny zarządza generalną Komunię św. dzieci o uproszenie pokoju. I tak ciągle i ciągle stara się przywołać do pokoju wojujące narody.

Przez długi czas zdawało się, że głos jego jest głosem wołającego na puszczy. Na szczęście ostatni miesiąc 1916 r. przekonał cały świat, że głos Papieża miał wielkie znaczenie. Pokojowe zabiegi Ojca św. zostały uznane przez rządy mocarstw centralnych.

Bo oto kiedy dn. 12 grudnia 1916 r. mocarstwa środkowe (Austrya, Niemcy, Bułgarya i Turcya) uczyniły same pierwszy krok do zgody i postawiły rządom nieprzyjacielskim propozycye pokojowe, to znaczy objawiły chęć do pogodzenia się i kiedy za pośrednictwem ambasadorów państw neutralnych przedłożyły rządom nieprzyjacielskim odpowiednie noty (urzędowe pisma) z wyrażeniem tego zamiaru, to taksamo podobną notę doręczono równocześnie Ojcu św. Benedyktowi XV. Uczyniły to rządy Austro-Węgier i Niemiec. Rządy tych obydwóch mocarstw udowodniły tem postępowaniem, że śledziły z uznaniem zabiegi pokojowe Papieża, że uważają go za niezależnego suwerena tj. samodzielnego panującego, niezależnego od rządu włoskiego, że uznały tem samem jego ogromną powagę, jako najwyższego zwierzchnika 300 milionów wiernych i że widzą w Ojcu św. najpewniejszego orędownika pokoju.

My chrześcijanie katolicy z niezmierną radością przyjmujemy do wiadomości ten krok mocarstw centralnych. Przez to odwołanie się do pośrednictwa Ojca św. wzrosła ogromnie powaga Namiestnika Chrystusowego nietylko u wiernych, lecz również u wszystkich narodów cywilizowanych na obu półkulach. Ponieważ nota wręczona Ojcu św. imieniem rządu niemieckiego, posiada historyczne znaczenie, dlatego przytaczamy ją dosłownie:

Nota do Ojca świętego.

Stosownie do otrzymanego polecenia mam zaszczyt przesłać Waszej Eminencyi kopię oświadczenia, które rząd cesarski polecił wręczyć rządom tych państw, z któremi Niemcy na stopie wojennej się znajdują, za pośrednictwem przedstawicieli państw, którym powierzono ochronę interesów niemieckich w państwach nieprzyjacielskich.

Rządy c. i k. austryacko-węgierski, ces. turecki i król. bułgarski wyraziły również swą gotowość przystąpienia do układów pokojowych. Zasady, jakie spowodowały Niemcy i ich sprzymierzeńców do tego kroku, są powszechnie znane. Od półtrzecia roku rujnuje wojna kontyngent europejski.

Nieocenione skarby kulturalne są zniszczone, szerokie obszary krwią przepojone, miliony walecznych bojowników poległo w walkach, miliony wracają ciężko okaleczone do ojczyzny; cierpienie i żałoba napeł-

niają każdy dom. Ale nietylko prowadzących wojnę, lecz i ludy neutralne przygniatają ciężko następstwa okropnych zapasów. Handel i wszelki obrót, z mozołem stworzone w latach pokoju, upadły. Najlepsze siły narodów, odciągnięte są od wytwarzania pożytecznych wartości. Europa poświęciła religię, kulturę i ogniska nauki i sztuki i wszelką pracę pokojową i stała się podobną obozowi wojennemu, w którym zdobycze i praca wielu stuleci idzie ku zniszczeniu.

Niemcy prowadzą wojnę obronną przeciw niszczycielskiej robocie swych nieprzyjaciół. Walczą one w obronie istotnego zabezpieczenia swych granic, wolności swego ludu i o prawo, by nieskrępowanie na równi z innemi państwami mogły swe duchowe i gospodarcze siły w pokoju rozwijać.

Coraz otwarciej odsłaniali nasi nieprzyjaciele swe plany zdobywcze, lecz nieporuszenie stoją pełne chwały wojska sprzymierzonych przed granicami swych krajów ojczystych, pełne przeświadczenia, że nieprzyjaciełom nigdy się nie uda przełamać ich spiżowego wału. Poza sobą czują te walczące szeregi solidarność ludów w ofiarnej miłości ojczyzny, by do ostatka bronić swych duchowych i gospodarczych dóbr i każdej piędzi ojczystej ziemi.

W pełni poczucia swej siły, a także i zrozumienia ponurej przyszłości Europy na wypadek dłuższego trwania wojny, w pełni też współczucia dla bezprzykładnej nędzy i cierpienia rodzaju ludzkiego, powtarza państwo niemieckie w związku ze sprzymierzonemi w uroczystej formie to, co już w ciągu roku przez usta kanclerza wypowiedziało: gotowość dania ludzkości z powrotem pokoju, tak jak wówczas, gdy pytało świata — czy nie znalazłaby się podstawa do porozumienia?

Jego Świątobliwość Ojciec święty od samego początku swego pontyfikatu brał w największej mierze udział w pieczy nad licznemi ofiarami wojny. Ciężkie rany zostały przez niego uleczone, a dola tysięcy dotkniętych katastrofą stała się znośniejszą. W duchu swego wysokiego posłannictwa chwytała Jego Świątobliwość każdą okoliczność, by w interesie cierpiącej ludzkości wpływać na ukończenie krwawych zapasów.

Rząd cesarski ośmiela się żywić nadzieję, że inicyatywa jego i czwórprzymierza znajdzie życzliwy oddźwięk u Jego Świątobliwości i pozwala sobie liczyć na doniosłe poparcie w akcyi pokojowej ze strony Stolicy Apostolskiej.

Nowy Rok w czasie wojny.

Pośród „dróżek Męki Pańskiej“ w Kalwaryi Zebrzydowskiej, za Krakowem, wznosi się na stromem wzgórzu, piękny kościółek, zwany „Kościółkiem Ukrzyżowania“. Gdy pobożni pątnicy obejdą już wszystkie stacye, przypominające miejsca i znaczenia z krwawej Męki Jezusa, pną się po spadzistem zboczu góry ku owemu kościółkowi, który położeniem swojem ma przypominać szczyt Jerozolimskiej Golgoty, kędy Zbawiciela świata ukrzyżowano. Rzewny to widok, gdy owi ludzie wśród największych wysiłków, umęczeni dalekiem pielgrzymstwem, spinają się ku górze, a raz wraz przystają, by tchu nachwytać i uznojone czoło z potu obetrzeć i znów się zrywają, a jakąś nadprzyrodzoną siłą parci, niepomni umęczenia wciąż wyżej i wyżej pomykają. Jaki taki czasem się obejrzy i zmierzy okiem przebyte drogi, ale porwany falą ludzką, westchnie jeno, i znów wraz z innymi idzie. A skoro wszyscy już świętego miejsca dosięgną z głośnem szlochaniem padają pokotem przed Jezusowym Krzyżem i tak długo w świętem rozpamiętywaniu trwają.

* * *

Z krwawej topieli wojny wyłania się znowu Rok Nowy. Już po raz trzeci tak się dzieje, że ten upragniony przybysz, po którym ludzie tyle obiecywać sobie zwykli, w krwawej łunie nam się jawi. I znowu, jak lat poprzednich, pytają go wszyscy nieśmiele: „Co nam przyniesiesz Roku Nowy?“ Każdy zaś radby usłyszeć z ust nowego przybysza te wielkie słowa: „Pokój“. Wojna bowiem, wyraz wszelkiego zła na ziemi, przebrała już miarę swej niegodziwości, a zatrwożona jej okropnością ludzkość, która przez rozlew krwi bratniej chciała równoważyć swe żywotne sprawy woła teraz: „Pokój, pokój!“ W tym Nowym Roku radaby widzieć niebieskiego zwiastuna tego pokoju.

Ale ten przybysz, którego się zwykło przedstawiać z tajemniczą opaską na oczach milczy i upragnionego pokoju nie zwiastuje. To bowiem, co się ma stać, nie od jego ślepych zrządzeń zawisło, ale od tego, co ci, którzy pytają, postanowią. Wszak dzieje lat i wieków składają się z czynów ludzkich. Te czyny zaś z wolnej woli człowieka wynikają. Jeśli więc zło na świecie się dzieje, to źródło jego tkwi zawsze w człowieku, który „c z y n i t o, c z e g o n i e c h c e“. Idąc bowiem za popędem skażonego grzechem serca, buduje człowiek swe szczęście na pysze i samolubstwie. Tu atoli następuje rozbieżność wspólnych spraw ludzkości i temu to raz wraz zrywa się ta ludzkość do krwawej wojny; jedni nad drugimi chcą wziąć górę i przemocą wciągnąć ich do pracy ku własnemu dobru. Ponieważ jednak pragnienie osobistego szczęścia w ludzkiem sercu nigdy nie wygasa, niemasz przeto zgody między narodami i wojna trwa wiecznie.

Do tej zgody bowiem trzeba tego, czego świat uznać nie chce: miłości, której najwyższym wyrazem stał się Krzyż Chrystusów.

* * *

Rozumieją dobrze tę prawdę owi prostaczkowie, kalwaryjscy pielgrzymi, którzy na świętą górę Ukrzyżowania pną się z takiem zaparciem siebie. Kiedy bowiem za siebie się obejrzą, a obaczą na dolinie zgiełk powszedniego życia, pełnego nienawiści, swarów, złudnych uciech i strasznych zawodów, tem skwapliwiej potem dążą do Jezusowego Krzyża, na którym i w którym znajdują to, co Zbawiciel światu dawał, mówiąc: „pokój mój daję wam“. W tym Krzyżu bowiem utaiła się najwyższa miłość, która ogarnęła cały świat i ku Bogu go podniosła.

* * *

Gdy miara niedoli w obecnej wojnie już się przebierać poczęła, toczące z sobą krwawe zapasy narody, zwróciły się do Chrystusowego Namiestnika w Rzymie

Snać ci, którzy Bożą prawdę, utajoną w Jezusowym Krzyżu za „g ł u p s t w o ś w i a t a“ dotąd sobie poczytywali, zrozumieli dziś jej tajemnicę i trwałej ostoi upragnionego pokoju u jego źródła szukają. Jeno pod znakiem Krzyża św. bowiem, pokój na świecie zapanować może. Pod tym też zbawiennym znakiem poczniimy to Nowe Lato, a wtedy spełnią się nasze pragnienia.

List Ojca św.

w odpowiedzi na adres biskupów niemieckich zgromadzonych w Fuldzie.

Ten list Ojca św. Benedykta XV. jest ciekawym dokumentem. Poznaje się z niego zabiegi Ojca św., celem przywrócenia pokoju. Papież pochwala działalność społeczną i dobroczynną katolików niemieckich i wzywa katolików do tłumienia nienawiści narodowej. Ten list ma następujące brzmienie:

„Zbiorowe pismo Wasze, które nas doszło w samą rocznicę Naszego pontyfikatu było nam wielką pociechą, bośmy raz jeszcze przekonać się mogli, że w tej ważnej chwili dziejowej, podzielacie myśli i uczucia Nasze. Do cierpienia, jakie Nam sprawia mordercza wojna synów Naszych, łączy się i ten smutek jeszcze, że nieustanne nawoływanie Nasze do pokoju, zostaje u niektórych w podejrzeniu i stąd trafia na opór. Posądzają Nas bowiem, że nie chodzi Nam o dobro powszechne, ale o korzyści Naszej własnej osoby i że nie pragniemy pokoju na sprawiedliwości opartego.

Namiętności tak dalece zaciemniły umysły, że to, co jasnem jest jak słońce, dla nich pozostaje ukrytem, mianowicie, że Papież rzymski jako pośrednik pokoju, w poczuciu obowiązków swojego urzędu, nic innego radzić ani żądać nie może jak tylko pokoju, i że tak czyniąc ma na względzie, nie dobro pojedyńczych narodów, ale całego społeczeństwa ludzkiego, gdyż ukrócenie tej strasznej wojny, choćby o jeden dzień tylko, byłoby już wielką zasługą wobec społeczeństwa.

Tymczasem dążąc do pokoju, pragniemy ulżyć okropnej nędzy, którą wojna za sobą przynosi. Już nam w tej mierze podajecie skuteczną pomoc, tak przez zrzeszenie wszystkich katolickich organizacyi, przez co pomoc łatwiejszą i skuteczniejszą się stała, jak i przez zarządzenia wydane w Paderborn, mające na celu ulżenie doli jeńców w państwie niemieckiem. Uznając to dzieło chrześcijańskiej miłości, oddajemy należne pochwały tak troskliwości Biskupów, jak i hojności podległych im katolików.

Jednakże najprzedniejszem zadaniem, które już spełniacie, a do czego usilnie Was zachęcamy, jest praca nad wykorzenieniem nienawiści między narodami, które wojna rozdzieliła, praca, aby ta nienawiść nie tylko nie rosła, ale przez wzajemnie sobie świadczone miłosierdzie coraz bardziej topniała. Tym sposobem utorujcie drogę do pożądanego pokoju, który tem trwalszy będzie, im głębsze zapuści korzenie.

Dlatego usiłujcie modlitwą Waszą ściągać na ziemię pomoc Boską, jak to już teraz czynicie, ponawiajcie nabożeństwa wynagradzające, zachęcajcie dziatki do Komunii św., bo wiele może u Boga skruszone i niewinne serce. Jako zakład łask Bożych i znak życzliwości Naszej udzielamy Wam, najmilsi synowie Nasi i Bracia, jakoteż duchowieństwu i owieczkom Waszym pasterskiego naszego błogosławieństwa.

Dan w Rzymie u św. Piotra dnia 8 września w uroczystość Narodzenia Najświętszej Panny r. 1916, trzeciego panowania Naszego.

Papież Benedykt XV.





Nowy Monarcha Austro-Węgier.

Dnia 21 listopada 1916 roku umarł sędziwy cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef I. Na tronie Habsburgów zasiadł nowy cesarz Karol I.

Urodził się 17. sierpnia 1887 r. na zamku w Persenburg nad Dunajem w Austryi Dolnej, jako najstarszy syn zmarłego w r. 1906 arcyksięcia Ottona.

Młody arcyksiąże spędził pierwsze swe lata pod staranną i troskliwą opieką matki. Następnie skończył chlubnie nauki gimnazyalne w Schottenplatz. Potem wstąpił do wojska i rozpoczął służbę w pułku ułanów.

W październiku 1911 r. zaślubił arcyksiąże Karol księżniczkę Zytę Parma-Bourbon. Z tego małżeństwa urodziło się czworo dzieci. Najstarszy ich syn, obecny następca tronu, nosi imię Ottona.

Obecny cesarz przebywał przez dłuższy czas — jako następca tronu — wraz ze swoim pułkiem w Kołomyi w Galicyi.

Cesarzowa Zyta odznacza się pobożnością, dobrocią i miłosierdziem względem ubogich.

Zaraz po wstąpieniu na tron cesarz Karol I. wydał orędzie do swoich ludów. Podnosi w niem wielką ma-

drość zmarłego cesarza i wychwala jego długie i błogosławione rządy. Zapowiada, że sam pragnie również iść śladami swego wielkiego poprzednika, chce być dla wszystkich swoich poddanych prawdziwym księciem pokoju, ażeby sobie ich miłość pozyskać. Pragnie szanować prawa i konstytucyę. Jest zmuszonym prowadzić wojnę, ażeby zyskać honorowy pokój, ale pragnął, by jak najprędzej zawrzeć przez wszystkich upragniony pokój.

Orędzie nowego cesarza przyjęły wszystkie ludy z wielką ulgą i radością.

Wszystkie ludy monarchii proszą Boga, ażeby młody cesarz sprawował jak najdłużej rządy dla szczęścia wszystkich swoich poddanych.

...Pokój ludziom dobrej woli!

„Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“, oto hymn, który rozbrzmiewa od przeszło dziewiętnastu wieków, a mimo to ludzie życiem swem dowodzą, że słów tych pokój zwiastujących nie chcą rozumieć i nie chcą na prawdę wziąć ich sobie do serca. Pełen najwyższej mądrości hymn ten wyśpiewany przez samych aniołów odnosi się do Pana Jezusa, z narodzenia którego wzmoże się, jak głoszą anieli, chwała Boża, a ludziom zawita pokój: czy wszystkim? nie wszystkim, lecz tym tylko, którzy okażą dobrą wolę.

Z drugiej jednak strony jakżeż słusznie dadzą się zastosować powyższe słowa hymnu i w kwestyi alkoholizmu. Któż nie widzi, ile złego przyniósł alkohol, czyto w formie prostej wódki używany, czy choćby tylko w postaci piwa, najmniej szkodliwego? Alkohol to był tym rozkładnikiem zgody tak w rodzinie niejednej, jak i w stosunkach sąsiedzkich, czy nawet gminnych. Wszak nie należało przed wojną do wyjątku słyszeć lub widzieć, jak w niejednej miejscowości żona wiodła nędzny żywot, bo gorszy częstokroć od zwierzęcia roboczego, z powodu męża pijaka; jak dzieci niejednokrotnie obdarte i głodne musiały iść do szkoły czy kościoła, bo pieniądze, które matka miała obrócić na zakupno odzieży dla dziatek, przepił rozrzutny i hulaszczy ojciec. A ileż to kłótni i swarów powodowała wódka po naszych wioskach, ileż to razy tylko wódka była przyczyną bójki w czasie której nóż był w robocie i krew się lała. Na własne oczy widziałem, jeszcze jako chłopiec 4-tej klasy ludowej, jak chłopi tak się porżnęli nożami, że płaty krwi pozostały na piasku przed klasztorem, bo na świętem miejscu ta rzecz miała miejsce, a jeden z nich tak dalece był pokaleczony, że z upływu krwi i potłuczenia nie podniósł się ze ziemi, a jeszcze trzymał w ręce kozik i groził nim. A powodem tego krwawego zajścia była poblizka karczma, w której przed chwilą razem się częstowali.

Oto „pokój“ jaki daje istny dyabeł niezgody, ukryty w powabnym niekiedy trunku. A przecież, gdyby ludzie już raz zaczęli być, dobrej woli i zechcieli iść za tem, co im mówi Kościół przez usta kapłanów słowy Pisma św. „trzeźwymi bądźcie a czuwajcie“, oraz co im głosi nauka najznakomitszych lekarzy, że alkohol jest „największym wrogiem człowieka, rodziny, społeczeństw, ludzkości“, wreszcie, czego uczy doświadczenie życiowe, to niezawodnie zamiast tylu nieszczęść, jakie prowadzi za sobą używanie napojów alkoholowych zapanowałaby zgoda i miłość, słowem prawdziwy pokój. By osiągnąć ten pokój, trzeba ludzi dobrej woli, trzeba chcieć: bo choćby wszyscy lekarze świata przestrzegali ludzi przed zgubnem następstwem picia, to cóż to pomoże, jeśli ludzie będą złej woli, t. j. jeśli nie zechcą iść w myśl ich nawoływań. Bo, że zawsze znajdą się ludzie, czy państwo, które łakomiąc się na dochody z wyrobu alkoholu płynące, takowy będą wyrabiać, sprzedawać i truć ludzi, to prawie nie ulega wątpliwości. Walka fałszu z prawdą, ciemności ze światłością do końca trwać będzie i zło nie da się nigdy całkowicie usunąć, bo zawsze będą ludzie złej woli, idący za głosem namiętności i zachcianek, a nie za głosem sumienia, przykazań Bożych i kościelnych.

Na progu nowego roku postanówmy sobie mocno iść za głosem ludzi światłych, którzy w imię miłości Boga, bliźnich i lepszej przyszłości narodu nawołują do zupełnej wstrzemięźliwości, do zupełnego wyrzeczenia się alkoholu w jakiejkolwiek postaci. Zerwijmy z tym zdradzieckim sprzymierzeńcem stanowczo, raz na zawsze i pokażmy, że nie będziemy pić, nie dlatego, że trudno dostać i drogo, jak dziś w czasie wojny, ale dlatego, że nie chcę, bo alkohol rujnuje życie i pożycie. Psuje życie moralne, bo wiedzie prawie zawsze do rozpusty; materyalne, bo nas czyni nawet dziadami, duchowe, bo przytępia zdolności umysłowe; psuje pożycie, bo różni członków rodziny i sąsiadów. Życiem wolnem od zgubnych nawyknień i zachcianek dajmy dowód prawa naszego d. wolnej Ojczyzny. Pozostańmy wierni hasłu zupełnej wstrzemięźliwości, a na pewno będzie z tego chwała Bogu, pożytek Ojczyźnie, a nam i innym pokój.

Wyzwolenie kobiety w chrześcijaństwie.

Znamieniem społecznego upadku jakiegoś narodu jest zawsze ucisk słabszych. Tak było pośród narodów pogańskich. Kobieta, jako istota słaba, pozbawiona była tej pełni praw człowieka, którą jej dało dopiero chrześcijaństwo. W świecie pogańskim bowiem, kobiety były odłączone od mężczyzn, zamknięte w domu ściśle strzeżone. Były to raczej niewolnice, niż równe godnością swym mężom towarzyszki ich życia, zwłaszcza tam, gdzie było wielożeństwo. Sami uczeni pogańscy, jedni nie mają ich za ludzi, inni zaś, jak Arystoteles i Hipokrates, ledwie za pół-człowieka uważają kobietę. Prawa stanu obowiązują dotąd indyjskiego bramina, aby nie dopuszczał do jednej z sobą misy swej żony.

Swobodniejszem nieco było życie kobiet w Rzymie, ale i tam miały oddzielne mieszkanie i swoje odrębne od pana domu towarzystwo. Miały one też swoją służbę, niewolnice, a miały ich takie mnóstwo, o jakiem się dziś panującym nie marzy. Cały zaś ten niewolniczy orszak służył swej pani, która, acz wzgardzona przez męża, zachowała wielką próżność w swem otoczeniu, dla którego bywała nieraz bardzo okrutną, jak to się widzi u pogańskiego pisarza-Juwenala, gdzie kobieta pyta: „domagasz się litości dla niewolnika? szaleńcze, uważ, czyż niewolnik jest człowiekiem?“

Tak to bowiem w każdem sercu się dzieje, że dostatek rodzi zawsze panoszenie się i wzgardę dla drugich, a przedewszystkiem ma to miejsce w sercu kobiety. To też historya Rzymu i Grecyi zapisuje mnóstwo zdarzeń, w których kobieta okrutnie się pastwi nad podwładną jej służbą, jakoby na niej chciała pomścić to niewolnicze poniżenie, w jakiem sama u swego męża i pana pozostawała. On bowiem był panem życia i śmierci swej żony, która przed nadużyciem mężowskiej władzy nigdzie nie miała ucieczki: prawo bowiem przyznawało zawsze słuszność mężowi.

Zresztą związek małżeński u pogan nie był uważany za tak ścisły, za jaki ma go chrześcijaństwo. Pogaństwo uważało żonę jedynie za narzędzie do zaspokojenia żądz mężczyzny. To też i kobieta, świadoma tego poniżenia, oddawała się sprośnemu nierządowi. Te niecne jej postępki usprawiedliwiała zresztą pogańska religia, która nierząd ubóstwiała, czcząc w nim różne bóstwa. To też w ostatniej dobie pogaństwa doszło do tak strasznego rozprzężenia, że niezwyciężony dotąd Rzym, runął skutkiem okropnego upadku moralnego.

Odnowa ludzkości nastąpiła dopiero wtedy, gdy jedna z niewiast Matką Boga się stała. Oto w galilejskiej mieścinie, Nazarecie, żyje Panienka imieniem Marya, która Swą dziewiczą czystością, nadzwyczajną pokorą, i wielką miłością serca dosługuje się tego wybraństwa Bożego. A skoro Matką Boga się stała, cały świat uczcił w Niej królową nieba i ziemi. A skoro tak Marya zapanowała nad światem, podniosła się w nim godność kobiety. „Wielki sakrament małżeństwa“ uświęcił dozgonny jej związek z mężczyzną, a macierzyństwo jej poczytano za świętość. Odtąd wszystkie chrześcijańskie społeczeństwa stawiają kobietę, dziewicę, żonę i matkę na poczestnem miejscu, a widząc w niej istotę słabą, uważają sobie za chrześcijański obowiązek nieść jej pomoc i opiekę. Wszystko to atoli wtedy ma miejsce, gdy kobieta należycie odpowiada swej godności i chowa w sobie te cnoty, przez które chrześcijaństwo dźwignęło ją z upadku i poniżenia. Temi też jej cnotami stoją społeczeństwa. Każdy upadek narodu, poczynał się od upadku kobiety. Tak było i u nas w Polsce, czego dowodem są smutne dzieje obyczajności kobiet pod koniec XVIII wieku. Jeżeli zatem dzisiaj dźwigać się mamy, polskie kobiety jaśnieć muszą chrześcijańską cnotą. Wtedy też każdy uszanuje ich godność.

Ostatnie chwile cesarza Franciszka Józefa I.

Dnia 21. listopada cesarz po nocy prawie niezmąconej wstał o zwykłej rannej godzinie. O godzinie wpół do 9 przyjął Cesarz ranną wizytę swej córki arcyksiężnej Maryi Waleryi.

Cesarz siedział przy tem koło biurka, był wesoły i okazywał niezamąconą świeżość umysłu. Cesarz powiedział: „Dobrze spałem, dziś czuję się lepiej“. Na zwykłe zapytanie arcyksiężnej, kiedy może do Cesarza wieczorem znowu przyjść, powiedział Cesarz: „Dziś nie możesz już przychodzić, nie mam czasu“. Na prośbę jednakże arcyksiężnej zezwolił Cesarz na krótkie odwiedziny.

Następnie zjawił się proboszcz zamkowy, który przyniósł błogosławieństwo papieskie. Jako najodpowiedniejsze przygotowanie dla przyjęcia błogosławieństwa papieskiego, polecił proboszcz przyjęcie św. Sakramentów. Cesarz wyraził gotowość po temu. Przy jak największej świadomości wyspowiadał się Cesarz, przyjął ze wzruszającem nabożeństwem Komunię św. i błogosławieństwo popieskie, poczem łaskawie pożegnał proboszcza zamkowego uwagą, że dobroć Ojca św. niesłychanie go cieszy.

O godzinie wpół do 12 zjawił się następca tronu z małżonką na krótkie odwiedziny. Wobec następcy tronu i jego małżonki użalał się Cesarz na swój stan zdrowia i wyraził nadzieję wyzdrowienia, gdyż nie ma czasu na chorobę. Cesarz wyraził następnie zadowolenie swe z powodu zwycięstw swoich wojsk w Rumunii i nadzwyczajną radość z powodu zainteresowania się Papieża Jego zdrowiem oraz z powodu przysłania błogosławieństwa.

Koło godziny 1 nastąpiło nagle pogorszenie. Mniej więcej o godzinie 4 Cesarz kazał kamerdynerowi raz jeszcze podać sobie pióro i położył ostatni podpis. O godzinie 5 popołudniu spożył nieco z przyniesionych potraw. O godzinie 6 zjawiła się arcyksiężna Walerya, która zauważyła, że Cesarz jest bardzo osłabiony i czyni wrażenie chorego. Arcyksiężna powiedziała do Cesarza: „Nie chcę Cię męczyć, zaraz odejdę“.

Cesarz odpowiedział: „Tak, to dobrze, czuję się źle“.

Następnie, kiedy arcyksiężna się żegnała, dodał: „Odprawiłem nabożeństwo. Ojciec św. przesłał mi swoje błogosławieństwo. Proboszcz zamkowy udzielił św. Sakramentów“.

Przed godziną 6 Cesarz czas dłuższy się modlił w pozycyi siedzącej, ponieważ nie mógł już, jak zwykle podczas porannej i wieczornej modlitwy, uklęknąć. Kiedy kamerdyner przypomniał, że czas byłby się położyć, Cesarz powiedział: „Muszę się jeszcze modlić“.

Następnie przeniesiono Cesarza do łóżka i lekarze poczęli Monarchę badać. Na pytanie kamerdynera co do dalszych rozkazów o której wstanie, Cesarz głośno powiedział: „Jutro o godzinie wpół do czwartej“.

Wnet potem zdawało się, że Cesarz dobrze zasnął, ale się obudził i zażądał czegoś do picia. Kiedy wypił, powiedział Cesarz do kamerdynera, który układając Monarchę zapytał, czy Monarcha dobrze leży: „Tak dobrze“. Niebawem oddech stał się krótkim. Prof. Ortner wstrzyknął injekcyę dla podniecenia czynności serca, czego Cesarz już nie zauważył.

O godzinie wpół do 9 proboszcz zamkowy udzielił Cesarzowi ostatnich pociech religijnych. Przy tem obecnymi byli następca tronu z małżonką, arcyksiężne: Marya Józefa, Marya Teresa, arcyksiążę Franciszek Salwator, arcyksiężna Marya Walerya, ochmistrz ks. Montenuovo, adjutant jeneralny hr. Paar, obecni w Schoenbrunie adjutanci przyboczni i służba osobista. Arcyksiężna Marya Walerya włożyła Cesarzowi w rękę krzyżyk. Cesarz otrzymał jeszcze zupełny odpust w godzinę śmierci.

Była godzina 9 minut 5, kiedy lekarz przyboczny Krezl i prof. Ortner stwierdzili śmierć Monarchy. Proboszcz zamkowy odprawił modły kościelne za Zmarłego, poczem pokropił zwłoki.

Módlmy się za konających żołnierzy!

Wojna doszła obecnie do okresu najgwałtowniejszego. Na wszystkich frontach odbywają się straszne walki: wojujące mocarstwa wytężają wszystkie siły, by przeciwnika zgnieść i wojnę doprowadzić do upragnionego rozstrzygającego końca. Szalone zapasy amunicyi oddają krwawe usługi, roznosząc wszędzie spustoszenie, rany, boleści i śmierć.

Tysiące tysięcy ludzi opłaca te walki życiem. Jak kłosy pod sierpem żniwiarza, tak żołnierze padają na polu bitwy. Ich ciała spoczywać będą w obcej ziemi aż do dnia sądnego, kiedy z grobów znów zmartwychwstaną, a ich dusze z chwilą śmierci idą przed tron Boży.

Wojna to żniwo dla śmierci. Szczęśliwy, kto po tylu trudach w duchu Bożym znoszonych, w łasce uświęcającej, zamyka zimne powieki. Doprawdy nie minie go za tyle ofiar i cierpień obfita w niebie nagroda.

Lecz czy też wszyscy żołnierze, co legną na polu walki, są w łasce uświęcającej i przygotowani na śmierć? Czy znoszą liczne cierpienia z poddaniem się woli Bożej i obracają je na korzyść swej duszy? Owszem, dużo jest bogobojnych żołnierzy, co zawsze są przygotowani na śmierć. Inni mają to szczęście, że krótko jeszcze przed śmiercią mogą się wyspowiadać i Sakramentami św. być zaopatrzeni. Ale są tacy, których nagle śmierć zaskoczy właśnie wtedy, gdy jej się może najmniej spodziewają, są wreszcie i tacy, których straszne chłosty Boże nie doprowadziły jeszcze do pokuty i poprawy życia, co w starych grzechach wciąż nadal trwają.

A jednak w godzinie śmierci i ich dusza stanie przed tronem Bożym, by być sądzoną, aby ostateczny usłyszeć wyrok. A wyrok ten będzie taki, na jaki w chwili śmierci zasługują.

Zbawienną jest rzeczą modlić się o dobrą śmierć dla siebie i swoich najbliższych. Nie zapominajmy o tem teraz podczas wojny, kiedy śmierć codzień niezliczone zabiera ofiary. Wspierajmy naszych braci w najważniejszej dla nich chwili, w godzinę ostatnią. Pomagajmy żołnierzom, którym Pan Bóg w niezbadanych wyrokach swoich przeznaczył śmierć, do dobrej i szczęśliwej śmierci. Może bardzo się niepokoimy o ich zdrowie i powodzenie doczesne, a zapominamy o szczęściu ich wiecznem, może codzień Boga i Matkę Najśw. błagamy, by osoby nam drogie zachowali od nieszczęścia i śmierci a nieraz są modły nasze o wiele potrzebniejsze ich duszom. Ach, módlmy się często za konających żołnierzy.

Leży grzesznik ciężko ranny na polu walki. Śmierć się do niego zbliża. Nagle oświeca go łaska Pańska i kruszy jego serce. Grzesznik poznaje swoje ułomności i grzechy i skruszonem sercem błaga: „O Boże! Widzę, że mnie strasznie ręka Twoja dotknęła. Wszakże Ty jedynie jesteś początkiem moim i końcem. Tobie tylko miałem służyć. Dobro najwyższe, a jam się tylokrotnie od Ciebie odwracał, grzechami Cię obrażając. Ach, jak mi tego żal. Żałuję z miłości ku Tobie! Bądź miłościw mej grzesznej duszy i przyjmij mnie do chwały Swojej!“

Tak modli się żołnierz konający, — a w domu może klęczy matka, żona lub przyjaciel przed obrazem Matki Boskiej, prosząc o nawrócenie tej duszy. Bóg ich modlitwy wysłuchał i uratował duszę tę drogą w godzinę śmierci przez żal doskonały.

Powiedz, kochany bracie, czy możesz umierającemu większe wyświadczyć dobrodziejstwo nad to, że się modlisz za jego duszę; czy możesz zaskarbić sobie większą zasługę, jak tę, że nawrócisz modłami swemi zbłąkanego brata? Jeżeli Pan Bóg już kubek wody, bliźniemu dla imienia Chrystusa podany, hojnie wynagrodzi, jakiej dopiero zapłaty może się spodziewać ten, co dla Chrystusa duszę bliźniego pozyskał. Jeżeli więc chcesz, aby osoby ci znajome i drogie umarły dobrą śmiercią, jeżeli pragniesz, by wojna nietylko była żniwem śmierci, ale i żniwem dla nieba, wtenczas módl się często za konających.

Braciom zaś konającym w różny można sposób dopomódz: Modlitwą, jałmużną, pobożnem słuchaniem mszy św., umartwieniem, postem i Komunią świętą. Odmów częściej różaniec, litanię albo inne modlitwy w tej intencyi. Daj grosz swój, który regularnie składasz na braci bezdomnych w tej myśli, by umierającym braciom dopomódz do szczęśliwego skonania. Z tego też powodu bywaj częściej w tygodniu, gdy możesz, na mszy św. lub przyjmij po zwykłej Komunii św. jeszcze na drugi i trzeci dzień Ciało Pańskie.

Pewnego razu spotkał ksiądz w lazarecie polnym żołnierza, który pomimo okropnych przejść w polu, jeszcze się nie był nawrócił, lecz wciąż trwał w niedowiarstwie. Wszelkie upomnienia kapłana, by go nakłonić do poprawy i generalnej spowiedzi, były daremne. Wreszcie namówił go przynajmniej do tego, by przybył na nabożeństwo, mające się właśnie w tym lazarecie odprawić. Dziwne są nieraz drogi Boże. Podczas mszy św. i przemowy kapłana skruszyła łaska Pańska zatwardziałą duszę grzesznika, i człowiek ten się nawrócił. Codziennej Komunii św. swej żony zawdzięczał tę łaskę, bo jak potem kapłanowi wyznał, już od dłuższego czasu pobożna jego żona pacierze swe i Komunie św. za niego ofiarowywała, ale długo niestety opierał się łasce Bożej, aż wreszcie przemogła łaska i serce jego skruszyła.

I my możemy pomódz braciom naszym i dusze ich ocalić od wiecznej zagłady, jeżeli za nich modlitwy nasze i dobre uczynki ofiarować będziemy. Dlatego módlmy się i błagajmy często Boga, by w strasznych walkach obecnych wiernych chrześcijan wspierał, i w łasce swej utwierdzał, grzeszników zaś nawrócił i do pokuty przyprowadził, obojętnych dla wiary skruszył i znów ze Sobą pojednał.

Przecież zawsze modlić się trzeba za grzeszników. Ale bezwątpienia najwięcej w czasach obecnych, gdy Pan Bóg sam wśród grzmotu dział odprawia misyę światową i w sercach ludzkich przeoranych cierpieniem ziarno swej łaski zasiewa. Róbmy tedy, co w naszych siłach, by ten zasiew Boży nie zginął, ale zapuścił korzenie i przyniósł plon obfity.

(„Przegląd Katolicki“ X. W. A.)

Polska znowu przedmurzem chrześcijaństwa.

Na całym obszarze ziem polskich niema zapewne już takiego domu i takiej chaty, gdzieby nie doszła ta radosna wieść, że aktami z dnia 5 listopada 1916 roku, ogłoszonymi przez wspaniałomyślnego ś. p. cesarza Franciszka Józefa I. i cesarza Niemiec Wilhelma II., zostało proklamowane niepodległe państwo polskie, samoistne Królestwo Polskie. Temu nowemu wskrzeszonemu państwu przyrzeczono uroczyście dać własnego króla, własną armię, własny rząd i konstytucyę. Po ogłoszeniu tej wiadomości serce każdego Polaka zabiło radośnie.

Z narodowego punktu widzenia cieszymy się niezmiernie faktem wskrzeszenia niepodległej Polski. — Spełniają się bowiem życzenia i marzenia kilku pokoleń. Naród polski zaczyna żyć swem własnem życiem. — Wprawdzie wszystkie urządzenia państwowe musi się pomału budować, ale żywimy niepłonną nadzieję, że pragnienia Polaków już w niedalekiej przyszłości spełnią się w całej rozciągłości. Nowo utworzone Królestwo Polskie nie obejmuje wprawdzie jeszcze wszystkich ziem polskich, bo będzie na razie utworzone z ziem zdobytych na Rosyi, ale równocześnie z proklamowaniem niepodległego państwa polskiego ogłoszono wyodrębnienie Galicyi, a nadto powszechna opinia narodu spodziewa się, że Polakom pod zaborem pruskim będzie dana możność swobodnego narodowego rozwoju — tak że po skończonej wojnie losy narodu polskiego ulegną zatem gruntownej zmianie na lepsze.

I jeżeli przez wszystkich oczekiwany pokój nie zmieni zasadniczo karty Europy, jeżeli zwłaszcza mniejsze dzisiaj zmiażdżone królestwa zostaną po wojnie na nowo przywrócone, to przywrócenie niepodle-

głego państwa polskiego będzie widocznym i wielkim owocem straszliwej wojny i zadośćuczynieniem sprawiedliwości dziejowej i naprawieniem krzywdy wyrządzonej 24-milionowemu narodowi.

Tak więc przez wskrzeszenie Królestwa Polskiego spełnia się sprawiedliwość Boża, okazująca się w losach narodów.

Ale oprócz tego chcemy zwrócić uwagę na drugi, nie mniej ważny szczegół sprawy polskiej, a mianowicie, że Polska będzie mieć do spełnienia niezmiernie ważne zadanie jako państwo katolickie na wschodzie Europy. Na tę okoliczność zwracają wszyscy coraz częściej baczniejszą uwagę. Samodzielna Polska ma być „wałem ochronnym“ zabezpieczającym Austryę, Niemcy i państwa Europy zachodniej przed wzrastającym kolosem rosyjskim. Nowa Polska z swoimi twierdzami ma zasłaniać granice mocarstw środkowych przed napadem rosyjskim.

Tak z politycznego punktu widzenia!

Lecz dziwna rzecz: Zadania polityczne młodej Polski łączą się w przedziwny sposób z zadaniami religijnemi i kościelnemi. Bo oto Polska powołana na nowo do niepodległego i samoistnego bytu ma być zarazem „wałem ochronnym“ przeciwko schyzmatyckiej Rosyi czyli przedmurzem chrześcijaństwa. Ten zaszczytny przydomek „przedmurza chrześcijaństwa“ nadawali chętnie Papieże naszej wolnej niegdyś ojczyźnie. Bo istotnie musiała ona przez długi szereg wieków zasłaniać piersiami swoich synów resztę Europy przed ciągłymi napadami Tatarów, Turków i schyzmatyckiej Rosyi. Ziemia polska przesiąkała krwią męczenników za wiarę i ojczyznę. I im potężniejszem było państwo polskie, tem lepsza obrona przed Wschodem.

O tej ważnej roli, jaką odgrywała ojczyzna nasza przez długi szereg wieków, zapomniano niestety przy końcu XVIII wieku. Polska została rozebrana i znikła z karty Europy.

Ale najmędrsi ludzie uznawali, że przez to popełniono wielki błąd. Wielki cesarz Francuzów Napoleon I żałował, że nie odbudował potężnego państwa polskiego w jego dawnych granicach. Kongres wiedeński w roku 1815 uznawał tę samą potrzebę i wskrzesił Królestwo Polskie i związał jego losy z Rosyą i z osobą cara. Niestety Rosya w ciągu XIX wieku coraz bardziej odbierała Polakom prawa i swobody, a w ostatnich latach nazywano Polskę „krajem nadwiślańskim“. Tym sposobem przez zagarnięcie Polski wcisnęła się Rosya w sam środek Europy i zagrażała wszystkim sąsiadom.

Przez proklamowanie niepodległego państwa polskiego Rosya została zatem na nowo odepchnięta na Wschód i skazana do swojej właściwej roli, jako państwa na wpół azyatyckiego a na pół europejskiego. Przez utworzenie Polski zamknięto równocześnie drogę schyzmie, która pod opieką rosyjskiego rządu rozlewała się coraz bardziej ku zachodowi, a zwłaszcza na ziemiach polskich. Ba, co gorsza, schyzmatycka Rosya uważała się za protektorkę i opiekunkę schyzmatyckiej Serbii i bodaj czy ta jej wcale nie pożądana opieka nie doprowadziła do wojny światowej. Rosya bowiem zamierzała powalić Austryę i utrwalić swoje wpływy polityczne i religijne na Bałkanie!

Szczęściem, Bóg inaczej zrządził! Rosya pokonana stoi teraz odrzucona daleko na Wschód. Na jej zachodniej granicy wyrasta nowe, rdzennie katolickie państwo polskie. Ma ono być na nowo przedmurzem chrześcijaństwa.

Oto przepiękna i wzniosła rola, jaką mieć będzie znowu Polska do spełnienia. Plany Boże, popsute przed wiekiem przez ludzi, zaczynają teraz na nowo się ziszczać. Idzie więc teraz o to, ażeby naród polski pozostał na zawsze narodem szczerze katolickim i odpowiedział godnie tym wielkim myślom Bożym, jakie Opatrzność ma względem niego.

W Chrystusie są dwie natury: Boska i ludzka.

W roku 446 panowała w Konstantynopolu wielka radość. Teodozy II, wybrał osobliwie za staraniem świątobliwej swej siostry Pulcheryi, w miejsce zmarłego patryarchy Prokla, dzielnego i świątobliwego Flawiana. Takiego patryarchy było właśnie potrzeba na on czas burzliwy na Wschodzie.

Według przyjętego zwyczaju, nowo obrany książę Kościoła posyłał cesarzowi tak zwane eulogie, tj. poświęcane chleby, jako znamię chrześcijańskiej miłości i zgody. Cesarz był tym darem bardzo ucieszony; lecz jego łakomy minister Chrysapiusz nie był z tego zadowolony i dlatego najprzód grzecznemi słowy, a następnie w tonie rozkazującym kazał oświadczyć patryarsze, że te chleby powinny być ze złota. Flawian śmiało odpowiedział:

— Srebra i złota nie mam: skarb kościelny nie do mnie należy, lecz przeznaczony jest na służbę Bożą i utrzymanie ubogich, i nie godzi się go używać na podarunki dla bogatych.

Słowa te do żywego ubodły dumnego ministra i pobudziły jego łakomstwo do zemsty, do której mu krewny jego Eutyches wkrótce podał sposobność. Ten Eutyches dostał się przez swe gładkie obejście i udaną pobożność, a mianowicie przez zabiegi wszechwładnego Chryzapiusza, na godność opata w pewnym klasztorze koło Konstantynopola, który zamieszkiwało 300 mnichów. Chociaż był dość ograniczony, chciał jednak w sporze z Nestoryuszem, który zaprzeczał w Chrystusie jedności osoby, błyszczeć jako przeciwnik. Ale w swej gwałtowności i dumnym uporze posunął się tak daleko, że wpadł w błąd przeciwny i w Chrystusie dwoistość natury zaprzeczył. Twierdził on, że w Chrystusie ludzka natura tak dalece od Boskiej natury została pochłonięta, że tylko Boska w Nim natura została, że Jezus Chrystus tylko jako Bóg ucierpiał i na krzyżu umarł; że wreszcie nie rzeczywiście, lecz tylko pozornie był człowiekiem.

Ta bezrozumna nauka, pochodząca od sędziwego i poważanego opata, wkrótce zyskała sobie stronników, boć zawsze znajdą się ludzie, co raczej kłamcy od początku, jak Bogu uwierzą.

Flawian poznał odrazu wilka w owczej skórze i napady jego na swą trzodę: walczył przeciw niemu nasamprzód bronią miłości i braterskiego upomnienia, broniąc zarazem swą trzodę od jadowitej paszy przez kazania. Lecz starania jego odbiły się jakby o skałę o upór Eutychesa. Zgromadził zatem synod do Konstantynopola, na który się zebrało 33 biskupów i 23 opatów. Rozkazał zbadać tę naukę i zawezwał Eutychesa do wytłómaczenia się, skoro ją uznano za kacerską. Eutyches oświadczył w swej zarozumiałości, że w Chrystusie jednę tylko naturę uznaje, że od tego synodu żadnego pouczenia nie przyjmuje i przy swem zdaniu obstaje.

Jakoż synod ogłosił, że nauka ta jest fałszywa i bezbożna, Eutychesa odsądził od godności opata i wykluczył go z Kościoła. Flawian doniósł o całej tej

sprawie Papieżowi Leonowi I do Rzymu; ale i Eutyches podstępny list napisał do tegoż, uskarżając się na niesprawiedliwość mu wyrządzoną. Papież pochwalił w osobnym liście postępowanie Flawiana, a potępił herezyę Eutychesa temi słowy:

„Pod wcieleniem Jezusa Chrystusa rozumiemy tę tajemnicę wiary, przez którą wyznajemy, że Syn Boży przyjął naturę ludzką i złączył ją z Boską swoją osobą w jednę osobę Bożą. Kościół święty wyznaje mocno i wytrwale dwie natury w Chrystusie, tak, aby wierzono, iż ten sam Chrystus jest zarazem jednorodzonym Synem Bożym i Synem człowieczym, bo jedno bez drugiego jest niepożyteczne do zbawienia; i zarówno niebezpiecznym jest błędem wierzyć, że Jezus Chrystus jest tylko Bogiem, a nie jest człowiekiem, jako też, że jest tylko człowiekiem, a nie jest zarazem i Bogiem“.

Eutyches postąpił sobie jak wszyscy sekciarze: łżył Papieża i patryarchów i żebrał pomocy władzy świeckiej. Wszechwładny Chryzapiusz z radością powitał tę sposobność, by na znienawidzonym Flawianie zemstę swą wywrzeć. Jakoż udało mu się z łatwością pozyskać dla swych niecnych celów Dyoskora, patryarchę Aleksandryjskiego, wraz z kilkoma biskupami Egiptu, a nadto niegodziwą cesarzową Eudoksyę i cesarza Teodozego II, który bez prawa i władzy zwołał synod do Efezu, na którym nie Flawian, lecz Dyoskor przewodniczył, a nawet Papieża nań zaprosił.

Dnia 8 sierpnia 449 roku zebrał się synod. Eutychesa, który w otoczeniu wojska cesarskiego przybył, uznano niewinnym herezyi, a Flawiana złożono z urzędu. Nie zważano na silną protestacyę posłów papieskich, ani na usilne prośby kilku biskupów, aby niesprawiedliwy wyrok na Flawiana cofnięto. Dyoskor powstał i krzyknął namiętnie:

— Żołnierze tu!

Drzwi kościoła nagle się otwarły, żołnierze z dobytemi mieczami wpadli i zmusili biskupów, aby podpisali uwolnienie Eutychesa i złożenie Flawiana.

Posłowie papiescy byli nieugięci: jednego z nich wtrącono do więzienia, drugi ratował się ucieczką. Na Flawiana rzucił się sam Dyoskor, powalił go na ziemię, deptał go nogami, bił pięściami po twarzy i rozkazał krwią zbroczonego z kościoła zawlec do więzienia.

Na drugi dzień wysłano Flawiana na wygnanie do Lidyi; ale jeszcze w drodze umarł tenże wskutek ran odebranych w rękach straży 11 sierpnia 449 roku.

Okrucieństwa te otworzyły oczy cesarzowi tak, że umarł ze zgryzoty; następca jego Marcyan skazał Chryzapiusza na śmierć, wygnał Eudoksyę do Jeruzalem i pomógł Papieżowi do zwołania synodu powszechnego do Chalcedonu 451 roku. Bezbożnego Dyoskora złożono z urzędu, wykluczono Eutychesa z Kościoła, a Flawiana uznano jako męczennika za prawdziwą wiarę i sprowadzono jego zwłoki do Konstantynopola, gdzie je uroczyście w kościele Apostołów złożono.

Brat Albert.

Założyciel Albertanów i Albertanek.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 25. grudnia z. r. umarł Brat Albert Chmielowski założyciel Albertanów i Albertanek, przeżywszy lat 70. Była to jasna postać, opromieniona aureolą poświęcenia się całkowitego dla bliźnich; był bowiem Brat Albert człowiekiem o prawdziwie ewangielicznie czystej duszy, Chrystusowej niemal dobroci zakonnikiem. Któż go nie znał? Znali go wielcy i znakomici, bo sam był i ze znakomitego, szlacheckiego rodu a przytem słynął z talentu malarskiego i zajmował wśród artystów wybitne miejsce; znali go i czcili nędzarze i nieszczęśliwi, bo był ich opiekunem, bratem i jakoby ojcem. Kraków, Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Jarosław, Zakopane, Przemyśl, Sokal, Tarnów i w. in. miast znały go i uwielbiały. W tych miastach bowiem są domy i schroniska prowadzone przez jego zakonnych braci, których polskim obyczajem nazywany od imienia czcigodnego założyciela, Albertanami, lubo sam Brat Albert chciał, by się nazywali Tercyarzami św. Franciszka.

Brat Albert urodził się 24. grudnia w Warszawie w r. 1846 i na chrzcie otrzymał imię Adam. Rodziców wcześnie utracił, a sierotę wychowywała ciotka. Do szkół uczęszczał w Warszawie. W roku 1863 wstąpił w szeregi powstańców o wolność Ojczyzny i należał do kawaleryi Langiewicza, odznaczając się dzielnością, męstwem i odwagą. W jednej z bitew (pod Trojaczyną) stracił nogę. Granat rosyjski pękł pod koniem Adama wskutek czego noga została pokruszoną aż do kolana. Rannego wzięli Moskale do niewoli. Przy operacyi gdy mu ucinano nogę nie dał się uśpić, ale sam sobie trzymał świecę i ani nie zadrżał. Rosyanie nie mogli się wydziwić dzielności i wytrzymałości 18 letniego Polaka. Gdy się wyleczył uszedł z niewoli, ale dostał się do drugiej — austryackiej w Iglawie a potem był więźniem stanu w Ołomuńcu, skąd go wyrwał pewien czeski kapłan. Wkrótce potem wyjechał do Gandawy na politechnikę a w r. 1870 znalazł się w Monachium w szkole malarskiej, wśród najwybitniejszych artystów polskich i cudzoziemskich, którzy rychło mieli sposobność podziwiać nie tylko szlachetne serce, wzniosły umysł, ale i talent Chmielowskiego. Malarstwu poświęcał się do roku 1888. Najważniejsze jego obrazy są: „Na pikiecie“, „Idylla“, „Przed burzą“, „Włoska siesta“; „Cmentarzysko“, „W podróży“, „Polowanie“; „Kwaterunek“; „Pogrzeb samobójcy“, „Ulica w podolskiem miasteczku“, „Wieczór jesienny“, „Poranek zimowy“, „Opuszczona plebania“, „Poranna modlitwa“, „Wizya bł. Maryi Małgorzaty“ i ostatni obraz jaki malował „Kameduła“. Wszystkie jego pędzla obrazy są bardzo cenione.

W 1888 roku Adam Chmielowski bierze rozbrat ze sztuką i światem, za pozwoleniem Ks. Biskupa Dunajewskiego w Krakowie, przywdziewa habit podobny jak nosił Św. Franciszek, zmienia imię Adam na zakonne Albert i oddaje się cały na służbę Bożą i usługę bliźnich. Znajomi zrazu mu nie dowierzali czy wytrwa do śmierci w tak ostrym, jak rozpoczął, trybie życia. Odnosili się dość nawet z nieufnością i niejedną Brat Albert musiał znieść przykrość od tych nawet co go wspierać byli powinni. Jeden Biskup krakowski stale go popierał i nawet na kapłana chciał wyświęcić, lecz Brat Albert z pokory wyprosił się od tego zaszczytu pomnąc, że i św. Franciszek nie był kapłanem. Mimo to założył zakonne zgromadzenie i przez to stał się ojcem duchowym wielu synów i cór, którzy teraz Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie służą wiernie i z pożytkiem. Brat Albert jest czwartym polskim zakonodawcą. Pierwszy polski Zakon męski OO. Maryanów założył Czcigodny sługa Boży Ks. Stanisław Papczyński w r. 1673, drugi, Braci Rochitów, założył sługa Boży Janusz Jarołowicz na Litwie 1713 r., trzeci Zakon XX. Zmartwychwstańców, założył sługa Boży Bogdan Jański 1837 r., a czwarty, Albertanów w r. 1888 Albert Chmielowski. Rzecz szczególna, że prócz założyciela OO. Maryanów wspomniani

wyżej założyciele **nie byli kapłanami**. Mimo to zakonnych braci, którym przewodniczyli do wysokiej świątobliwości doprowadzili, a sami w opinii wysokiej świątobliwości zmarli. Brat Albert lubił o nich mówić i za przykład sobie stawiać. Podpisany nieraz miał sposobność na ten temat ze Zmarłym rozmawiać a brat Albert podziwiając życie i śmierć Czcigodnego założyciela Braci Rochitów Br. Janusza, nieraz mówił: „Tak, tak, umrzeć z miłości jak Brat Janusz to moje pragnienie. Chciałbym, by moi bracia do Rochitów w świątobliwości podobnymi byli".

Tak więc zapatrując się na życie św. Franciszka Serafickiego, Jana od Krzyża i życie Świętych polskich, Brat Albert szedł drogą dobrowolnej pokuty, którą słodziła miłość Boża, a to tak wielka, że kiedy o Bogu z przyjaciółmi mówił to piersi mu dech zapierał, płonął na twarzy i rozrzewniał się. Z tej miłości Boga wypłynęły wszystkie dzieła Brata Alberta i każdy jego czyn; w niej trzeba szukać źródła i motoru jego postępowania. A to co on zrobił nie przyszło mu łatwo. Na każdym kroku musiał się zwyciężać. Z urodzenia i wychowania pan, stał się żebrakiem: lubił zbytek i wygody a dobrowolnie wybrał ostatnie ubóstwo i z najniechlujniejszymi włóczęgami spoczynku, oparty o brudną ścianę przytułku, zażywał: lubił towarzystwo ludzi uczonych i kulturalnych, bo sam tej sfery był ozdobą, a chciał obcować z prostakami, ludźmi złymi, często zbrodniarzami i służył im jak brat kochający; z usposobienia był gwałtowny i niecierpliwy a wśród ubogich stał się cichym jak Baranek i słodki tak, i dobry tak bardzo, iż go jeszcze za życia świętym nazywano, miał prawo błyszczeć przed światem, a on zapragnął zniknąć i utonąć w sercu Bożem i żyć wśród maluczkich zapomniany, wzgardzony, a wszystko z miłości dla Chrystusa, którego przykazania i rady ewangieliczne wprowadził w życie.

Dawni znajomi Adama Chmielowskiego ani przypuszczali, co się z ich wytwornym towarzyszem stanie, gdy zmieni się w Brata Alberta. Ten zakonnik zaiste nie naprózno zamienił imię świeckie na zakonne! Przywdział habit na to, by zostać świętym i do tego, wsparty silną wolą i Bożą łaską, dążył konsekwentnie, uparcie, aż stanął, może, na jednym szczeblu z ascetami tej miary co O. Damian Ożarowski Kameduła, O. Prokop Leszczyński Kapucyn, O. Bernard Pielasiński Maryanin i inni. Brat Albert — według naszego zdania jakie sobie obcując z nim często za życia jego, o nim wyrobiliśmy — w dziedzinie uduchowienia doszedł aż do stopnia zjednoczenia z Bogiem to jest tak wysoko jak mało komu z pobożnych osób udać się to może.

Podziwu też godnem jest, że kiedy inni asceci w odosobnieniu dochodzą do tego stopnia świątobliwości, Brat Albert postępował w ciągłem towarzystwie ludzi, którzy najmniej do skupienia wewnętrznego dopomagają. I braciom swoim — Albertanom — nakazał życie ostre i pokutne, ale równocześnie przeznaczył im prace dla dobra maluczkich i wśród nich, która to praca polega na ciągłem stykaniu się z nimi, na mozolnem podnoszeniu ich słowem i przykładem oraz w wykonywaniu względem nich uczynków miłosierdzia, pojętego jaknajszerzej a ogrzanego miłością i przebaczeniem nawet dla najniżej upadłych.

Zgromadzenie Albertanów w polskiem sercu zrodzone i wypiastowane zostało, na polskiej ziemi wzrosło w liczbę i w cnoty, pomnaża ono nasz dobytek w sferze duchowej i chlubnie świadczy o wzniosłości duszy polskiej. Brat Albert życiem swojem dowiódł, że potrzeba nam koniecznie wrócić do pierwotnej ostrości życia chrześcijańskiego wogóle, a zakonnego w szczególności, jeśli chcemy przysporzyć szczęścia innym — i sobie samym.

To jest testament Brata Alberta.

Ostatnie tygodnie przed śmiercią spędził Brat Albert w swej pustelni tatrzańskiej, w Zakopanem, i tam „uczuł że się śmierć jego zbliża". Oznajmił to zakonnym braciom i postanowił jechać do Krakowa umrzeć, „aby nowicyatowi nie robić kłopotu". Zaczął się przygotowywać na śmierć, ale pełen swobody — wszak „śmierć jest takiem samem dobrodziejstwem Bożem, jak każde inne dobrodziejstwo". Te słowa są ostatnie, jakie w życiu wypowiedział Brat Albert do Braci i Sióstr, otaczających jego mizerne łoże.

Zapamiętajmyż je i my.

Umierającego Brata Alberta odwiedzili krakowscy Księża Biskupi i kto tylko mógł z przyjaciół a szczególnie jego Bracia i Siostry zakonne. „**I stał się płacz wielki wszystkich, będąc najbardziej żałośni z słowa, które im powiedział: że więcej nie mieli oglądać oblicza jego**"[1]).

Niech się jednak pocieszy Zgromadzenie Albertanów i Albertanek, bo, jak mamy nadzieję, ujrzą oni kiedyś w niebieskiej chwale swego Założyciela, gdyż cnotami swemi, pokutą, życiem pełnem miłości Boga i bliźniego wysłużył je sobie.

Brat Albert za życia w wielkiej czci był u wszystkich a gdy umarł nogi i ręce jego ze czcią całowali świeccy i zakonnicy i sami nawet księża. To wszystko dowodzi nam jak wielką zostawił po sobie opinię świątobliwości.

Żyj Bracie Albercie z Bogiem swoim szczęśliwy na wieki, a gdy się będziesz za swymi bliskimi modlił do Pana, wspomnij i o tym, który to wspomnienie napisał, jako ostatni dowód przyjaźni i czci i wiernej pamięci. **Józef Stanisław Pietrzak.**

Wysyłajcie żołnierzom książki i gazety.

Niema już chyba potrzeby przypominać i pouczać, jak dla żołnierza ważną jest rzeczą słowo drukowane. Wysłano na front miliony książek do nabożeństwa, kalendarzy i ulotnych pisemek, ale to wszystko mało jeszcze. Wielu niestety obojętnie spogląda na ciągle ogłaszane prosby o książki dla żołnierzy; inni wysyłają je wprawdzie na front i do szpitali, ale tak bez wyboru, że więcej stąd szkody jak pożytku, mimo że tyle mamy komitetów, które się tem zajmują, aby wysyłać tylko dobre i stosowne książki, z którychby żołnierze czerpali wiarę, odwagę i męztwo, a przytem mieli i rozrywkę godziwą. Z jednej tylko centrali wiedeńskiej (Wien. IX/4, Canisiusgasse 16) wysłano już dotąd 1,750.000 pism peryodycznych, 13.000 kart pocztowych, 7000 listów i 250.000 książek do nabożeństwa w rozmaitych językach i narzeczach Monarchii; nadto kilka tysięcy książek wysłano jeńcom naszym w Rosyi.

Wobec tego jak wojna dzisiaj stanęła, to potrzeba naszych żołnierzy długo jeszcze trwać będzie; dlatego **zwracamy się do czytelników naszych z usilną prośbą o popieranie tego miłosiernego dzieła groszem i książkami.**

---

[1]) Dzieje Apostol. XX. 36—38.

Najpożądańsze są kalendarze, pisma illustrowane i opowiadania na tle wojennem. W każdym niemal domu znajdzie się jeszcze tego dosyć, trzeba tylko trochę dobrej woli i pilności, aby przeczytane artykuły i książki zbierać i wysyłać gdzie należy.

Ks. Filzer podaje do pewnej gazety katolickiej list kapelana polowego, wobec którego zawstydzić się nam trzeba. Proszę Ekscellencyi w imieniu 2.600 żołnierzy, zajętych w Albanii budową dróg i stawianiem przeszkód drucianych, o maleńkie książeczki do nabożeństwa, trochę książek do rozrywki i pism peryodycznych. Nie zapomnę podziękować za to przy Ofierze Mszy świętej".

„Muszę wyznać — pisze ks. Filzer — że list ten czytałem z ciężkiem sercem, bo jeżeli z jednej strony wielką mam stąd pociechę, że nasi dzielni żołnierze sami pragną tego posiłku dla duszy, to z drugiej, jakże boleśnie nie módz tej prośbie zadośćuczynić, bo ogół wiernych za mało odczuwa religijną potrzebę tych, którzy w obronie naszej krew przelewają. Boleść nasza tem większa, że kapelan wojskowy nie może być przy śmierci każdego żołnierza i że tak pożądana książeczka często przy umierającym zastępuje kapłana. Kiedy wreszcie rozważyłem, że dla wielkich wydatków nie mogę żądać od żadnego komitetu, aby zadośćuczynił tej potrzebie żołnierzy, uświadomiła mi się nasza obojętność i zacofanie w tym kierunku. Prawda, że mamy wybornie uorganizowaną katolicką Centralę w Wiedniu, ale są prowincye i kraje, które wcale o to nie dbają. W Bawaryi książki do nabożeństwa i kościelne śpiewniki należą do wyprawki każdego żołnierza. W Prusach to samo ma miejsce, bo katolicy niemieccy nie rachują się z groszem: taka np. Centrala Boromeusza w Bonn wysłała już 5 milionów książek i pisemek na front, do szpitali, na wojenne okręty i do osad wojennych. W Austryi niestety jest to rzeczą dla ogółu zupełnie obojętną, a jednak i u nas możnaby przynajmniej to jedno osiągnąć, aby każdy żołnierz miał książeczkę do nabożeństwa.

Drodzy Czytelnicy! Starajcie się zatem, ażeby każdy wasz krewny i znajomy żołnierz posiadał przedewszystkiem książeczkę do nabożeństwa. Jeżeli nie zabrał książeczki ze sobą, gdy wyruszał na wojnę, to można mu posłać pocztą. W sklepach z rzeczami religijnemi i w kramach można wszędzie z łatwością dostać nie drogą książeczkę. W Krakowie można łatwo nabyć takie książeczki w sklepie Kurkiewicza (Mały Rynek), Angrabajtisa (ul. św. Tomasza) itd.

Również korzystną byłoby rzeczą wysyłać żołnierzom książki religijne do czytania, któreby im zastępowały Słowo Boże i kazanie. Takie książeczki są do nabycia u OO. Jezuitów w Krakowie, ul. Kopernika nr 26, jak np. „Ewangelie niedzielne i świąteczne z objaśnieniami", napisane przez ks. H. Jackowskiego, w oprawie 2 kor.: „Katolik uczynkiem i prawdą" przez ks. T. Pescha, cena 2 K 30 hal.: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa" przez Tomasza a Kempis, cena 1 K 20 hal.

Żołnierze proszą też ciągle o książki do czytania. Mogą im dostarczać pojedyncze osoby, jeżeli posiadają książki do czytania. Wysyłaniem książek mogą zająć się różne towarzystwa oświatowe, istniejące po wioskach i miasteczkach. Gdyby potrzeba było wysłać większą ilość książek, to najlepiej zwrócić się do Zarządu Głównego „Towarzystwa Oświaty Ludowej" w Krakowie, do „Tow. Szkoły Ludowej" Kraków, ul. Floryańska, do Zarządu „Straży Polskiej" w Krakowie, do „Zarządu „Krajowego Tow. Czerwonego Krzyża" w Krakowie, ul. Basztowa itp.

Te wszystkie Towarzystwa w miarę możności wysyłały już książki i robią co mogą, ale wszystkich życzeń niestety spełnić nie mogą z powodu braku funduszów. Wielka szkoda, że w naszym kraju nie założono jakiegoś centralnego biura, któreby się było zajęło specyalnie wysyłaniem książek dla żołnierzy, a które miałoby piękne zadanie do spełnienia.

W końcu dodajemy, że najłatwiejszą jest rzeczą dostarczyć żołnierzom materyału do czytania przez zaprenumerowanie im dobrych, katolickich gazet. Żołnierz znajdzie na wojnie lub w szpitalu dosyć czasu, ażeby czytać nawet dziennik (gazetę wychodzącą codziennie). Takim najodpowiedniejszym dziennikiem dla żołnierzy jest „Głos Narodu" (Kraków, ul. św. Tomasza 35). Albo sobie zaprenumerować przynajmniej pismo tygodniowe, jak „Lud katolicki" (Tarnów), „Prawdę" (Kraków) itp. Można też w kopertach posyłać pisma miesięczne, jak „Polski Siew", „Intencye miesięczne", „Głosy katolickie".

Jeżeli rodzice lub żony będą wysyłać swoim synom i mężom na wojnę książki i gazety, niech będą przekonane, że przez to oddadzą im najpiękniejszą przysługę i sprawią im największą radość.

Zwracamy się na tem miejscu do przyjaciół naszego pisma, a zwłaszcza do P. T. Duchowieństwa, ażeby służyło radą i wskazówkami wiernym (zwłaszcza po wsiach), jak mogą tę rzecz praktycznie przeprowadzić.

Paweł Stalmach.

(Z powodu ćwierćwiekowej rocznicy zgonu).

Lud polski na Śląsku cieszyńskim obchodził z końcem minionego roku żałobną rocznicę: dwudziestopięciolecie zgonu Pawła Stalmacha, pierwszego budziciela polskości i organizatora życia narodowego w tej dzielnicy Polski.

Paweł Stalmach pochodził ze śląskiej protestanckiej rodziny rolniczej, urodził się w r. 1824 w Bażanowicach pod Cieszynem. Po ukończeniu szkoły ludowej uczęszczał do ewangelickiego gimnazyum w Cieszynie, gdzie już pracował nad swojem i swoich kolegów uświadomieniem narodowem. Następnie studyował protestancką teologię w Preszburgu na Węgrzech i w Wiedniu. W Preszburgu wszedł w koła młodzieży słowiańskiej i tu też powziął postanowienie rozwinięcia szerszej pracy w celu uświadomienia narodowego śląskiego ludu.

Wróciwszy do kraju w r. 1848, gdy ruch wolnościowy ogarnął wszystkie ludy w monarchii i państwach sąsiednich, uzyskawszy zezwolenie, rozpoczął Stalmach wydawnictwo pierwszego polskiego pisma na Śląsku, p. t. „Tygodnik Cieszyński". W trzy lata później „Tygodnik" zmienił nazwę i odtąd nosi tytuł „Gwiazdka Cieszyńska" i pod tym tytułem wychodzi do dnia dzisiejszego. Gazeta wydawana przez Pawła Stalmacha była jakby elementarzem polskim dla ludu śląskiego i jego przewodnikiem we wszystkich sprawach społecznych, politycznych i oświatowych — przez dziesiątki lat, w najcięższych czasach i najgorszych warunkach.

Równocześnie przy wydawnictwie gazetki dla ludu organizował Stalmach różne stowarzyszenia. Rozpoczął

od zniemczonego mieszczaństwa, dla którego w roku 1848 założył „Czytelnię polską", z której wyłoniła się później „Biblioteka polska dla ludu kraju Cieszyńskiego". By ożywić zebrania „Czytelni polskiej", istniejącej do dziś pod nazwą „Czytelni ludowej", zebrał on pieśni słowiańskie, które rok później (1849) „Czytelnia polska" wydała drukiem; on też utworzył kółko, które zajęło się urządzaniem przedstawień amatorskich.

W celu podniesienia stanu rolniczego podał on projekt i opracował statuty Towarzystwa rolniczego, kóre dopiero po kilku latach, w roku 1869, z powodu zwlekań rządu weszło w życie. W . 1872 zakłada on na wzór Towarzystwa poznańskiego Towarzystwo naukowej pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego". By dać ludowi dobry kalendarz do ręki, wydaje już od roku 1857 „Kalendarz Cieszyński", który bez przerwy do obecnych czasów wychodzi. Wśród tej bogatej pracy, prowadzonej w niezmiernie ciężkich warunkach, w biedzie materyalnej i wśród przeciwności ze strony obcych, a nawet swoich, czerpał otuchę w tem przekonaniu, że pracuje dla swego kochanego ludu śląskiego.

Uwieńczeniem jego pracy narodowej i obywatelskiej było założenie „Macierzy szkolnej" w r. 1885. By się mógł w zupełności oddać swemu „benjaminkowi" — jak „Macierz szkolną" nazywał — odsprzedał „Gwiazdkę Cieszyńską" katolickiemu towarzystwu prasowemu w roku 1888. Stalmach nie doczekał się jednak spełnienia swych marzeń: założenia polskiego gimnazyum w Cieszynie. Zmarł w dniu 13 listopada 1891 r. jako katolik, przeszedłszy przed śmiercią na łono Kościoła katolickiego. Pochowano go na cmentarzu w Cieszynie, a na grobie jego w dowód uznania zasług dla odrodzenia narodowego, lud śląski umieścił krzyż kamienny z napisem: „Pawłowi Stalmachowi, niestrudzonemu bojownikowi za sprawę narodową, który budził lud śląski — wdzięczni rodacy".

Modlitwa w nocy Bożego Narodzenia.

Pelbarcyusz opowiada nam o pewnej pokutującej grzesznicy, której nazwiska nie wymienia, następującą historyę, która okazuje, jak zbawienną jest rzeczą, przedstawiać sobie Boską Dziecinę w żłóbku i do niej z ufnością przystępować.

Nieszczęśliwa ta istota spędziła swą młodość w życiu występnem i obciążyła swe sumienie wielkiemi grzechami. Tknięta łaską Bożą i usłuchawszy głosu wzywającego ją do pokuty, uciekła od świata i przez ciężkie prace, umartwienia i nieustanne łzy pokuty, starała się wynagrodzić Bogu stracone lata. Ale pomimo ciężkiej pokuty coraz większa powstawała w jej duszy trwoga, że wszystkie jej usiłowania są daremne, że Bóg nie przebaczy jej ciężkich przewinień. Gdy spojrzała w niebo, nasuwały się jej te słowa Pisma świętego, że „nic nieczystego nie wnijdzie do nieba", gdyż tylko ludzie czystego serca Boga oglądają. Gdy rozpamiętywała bolesną mękę i śmierć Pana Jezusa, szeptał jej zły duch: ty należysz do Jego wrogów i nie masz uczestnictwa w Jego zasługach. Gdy wreszcie wspomniała na straszny sąd, wpadała prawie w rozpacz.

Wśród takich wewnętrznych katuszy upłynął adwent i zbliżyła się wigilia Bożego Narodzenia. Ta biedna dusza, umęczona całodzienną pracą, uklękła sobie w kąciku kościoła i płakała. Nagle uczuła słodki pokój w duszy i zmrużyła oczy do snu. W tem ujrzy przed oczyma duszy żłóbek betleemski, a na łonie Matki-Dziewicy cudnej urody Dziecię, które na nią dziwnie łaskawem spoglądało okiem. Uradowana, zawołała:

— Przez Twoje łaski pełne dziecięctwo, w którem przyszedłeś zbawić grzeszników, zmiłuj się nademną!

Tej modlitwy usłuchał Pan Jezus: ustąpiły trwoga i smutek, a na ich miejsce nastąpiła ufność i wesołość, które ją nigdy odtąd nie opuszczały. (Pier de Natal).

Čar Paweł I. i ksiądz Pinguelli.

W ostatnich latach panowania swego, dowiedział się Paweł I., car rosyjski, że Polacy gotują się do nowego powstania. Niektórych z podejrzanych natychmiast schwytano i do więzienia w Petersburgu wtrącono. Jeden z nich nie dał się żadnemi środkami nakłonić, aby choć coś o współwinnych i ich planach wyjawić. Tymczasem zachorował i prosił o kapłana, księdza Pinguelli, który dla swych wysokich cnót nietylko katolikom, ale najwyższym dostojnikom w stolicy i samemu carowi był znany. Bo gdy raz tenże, jeszcze jako wielki książę, zwiedzał Francyę, przyjął i jego i jego małżonkę ten kapłan, który wtenczas był wiejskim plebanem, gościnnie w swym domu i umiał sobie swych dostojnych gości tak ująć, że gdy później uciekając przed grozą rewolucyi, musiał porzucić ojczyznę i do Rosyi się udał, od cara Pawła i jego małżonki jako przyjaciel przyjęty i jako taki zawsze był traktowany. Ten pobożny mąż, znany powszechnie pod imieniem Aleksandra, mieszkał koło katolickiego kościoła w Petersburgu, wielce szanowany od OO. Jezuitów, którzy tym kościołem zawiadywali.

Jednego dnia wezwano księdza Pinguelli do owego chorego. Zawiózł go do więzienia hrabia Kutaissów. Podczas spowiedzi, czekał hrabia w przybocznym pokoju. Po spowiedzi odwiózł go tenże nie do jego mieszkania, lecz wprost do pałacu carskiego i zaprowadził go do cara, sam zaś ustąpił i zostawił ich sam na sam. Car najuprzejmiej powitał kapłana, a po kilku krótkich wyrazach grzeczności, zażądał od niego, aby mu wyjawił wszystko, co penitent w politycznym względzie na spowiedzi zeznał.

Sędziwy kapłan mimowoli zadrżał, usłyszawszy taki rozkaz, ale natychmiast się opamiętał i rzekł:

— Wasza cesarska mości! Ja nic o tem nie wiem! Sekret spowiedzi obowiązuje mnie!

Car strasznie się rozgniewał.

— Życie moje jest w twojej mocy, cesarzu — odrzekł spokojnie Pinguelli rozgniewanemu władcy — ale mej duszy przeznaczeniem jest wieczność, dlatego też pomimo bezgranicznej uległości we wszystkiem innem, muszę w tym razie Bogu samemu być posłusznym; moje usta, jak każdego katolickiego kapłana, pieczęcią Sakramentu pokuty są i na wieki będą zamknięte. Męki i widok śmierci, mam w Bogu nadzieję, nic na mnie nie wymuszą, podobnie jak nic nie wymusiły na męczenniku mego Kościoła św. Janie Nepomucenie. On mi teraz stoi przed oczyma duszy, a ja starać się będę iść aż do ostatniej chwili życia za jego przykładem.

Chwilę patrzał mu car, milcząc, w oczy, a potém przechadzał się po gabinecie; sędziwy kapłan sądził, że gorzki los jego już się rozstrzygnął; gdy Paweł nagle przed nim stanął, hrabiego Kutaissowa zawołał, wziął rękę kapłana, silnie ją uścisnął i widocznie wzruszony rzekł do hrabiego:

— Zaprowadź pan tego kapłana nazad do jego mieszkania; dotychczas ceniłem go jako dobrego człowieka, ale teraz czczę go jako dzielnego męża i więcej jeszcze jak dzielnego męża!

Obaj wyszli z pałacu carskiego, wsiedli do powozu, i odjechali w milczeniu. Uczucia kapłana każdy czytelnik sam odgadnie. Po śmierci Pawła wzywano księdza Pinguelli nieraz do carowej wdowy, która mu kosztowny podarunek, jako pamiątkę po zmarłym małżonku, własnoręcznie ofiarowała.

Zdarzenie to wywarło silne wrażenie i mocno przyczyniło się do uznania świętości katolickiej religii u innowierców.

Piękne porównanie.

Święty Augustyn chcąc swoim słuchaczom wyjaśnić, jakim sposobem wszystkie trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej działały w tajemnicy Wcielenia Syna Bożego, użył następującego podobieństwa:

„Spojrzyj na cytrę i słuchaj, jak słodkiemi głosy wdzięczną harmonię wydaje! Trzy rzeczy tu spostrzegasz: sztukę grającego, rękę i strunę; a jednak słyszysz tylko sam dźwięk. Sztuka tworzy, ręka porusza, struna dźwięczy. Trzy rzeczy razem działają, ale sama struna dźwięczy, aby być słyszaną. Ani sztuka, ani ręka tonu nie wydaje, ale ze struną wespół działają. Podobnie też ani Ojciec, ani Duch święty ciała nie przyjęli, a jednak wraz z Synem działają. Ton tylko struna wydaje: Chrystus sam przyjął ciało ludzkie, choć wszystkie trzy Osoby współdziałały; ale jako wydanie dźwięku tylko do struny należy, tak do samego Chrystusa należy przyjęcie ciała ludzkiego“.

Katolicyzm w Anglii.

W protestanckiem piśmie religijnem „Reformacya“ (z dnia 15 paźdz.) znajdujemy ciekawy artykuł o wzroście katolicyzmu w Anglii. Artykuł ten przytaczamy tembardziej, że nikt nas nie posądzi o stronniczość, bo nie pochodzi on ze strony katolickiej:

„Z niemałem zadziwieniem spostrzegamy w społeczeństwie angielskiem widoczny wzrost ku katolicyzmowi. Ci wyspiarze tak na pozór zimni i obojętni, mają już dosyć swoich nagich domów modlitwy, bo trudno to nazwać kościołem i całem sercem tęsknią do barwnej symboliki świątyń katolickich. W tem leży przyczyna dlaczego kościół anglikański zbliża się coraz bardziej do rytu rzymskiego i dlaczego duchowni anglikańscy wypierają się stanowczo wszelkiego pokrewieństwa z protestantyzmem. Kto widział wspaniałą celebrę w kościele św. Pawła, kto był tam na nieszporach, słuchał przecudnej muzyki i patrzał na unoszący się dym kadzideł, ten mało zaledwie spostrzeże różnicę z obrzędami katolickimi. Ale w tem właśnie kościół anglikański błądzi, bo nigdy nawrócenia na katolicyzm nie były tak liczne, jak w tym ostatnim dziesiątku lat, usiłowanej dążności zrównania się z katolicyzmem. Nawracają się nietylko laicy, ale w wielkiej liczbie duchowni anglikańscy, którzy sami o sobie mówią, że „wracają na łono Matki-Kościoła“.

Dwa szczególniej nawrócenia były wielkiej doniosłości: nawrócenie wielebnego Macdonalta jedynego syna angielskiego admirała, któremu droga do zaszczytów stała otworem dla jego osobistych zdolności i przymiotów; i nawrócenie Roberta Hugh Benson, syna arcybiskupa z Canterbury, a więc głowy kościoła anglikańskiego. Obaj ci konwertyci, jak to zwykle bywa, odznaczają się wielką gorliwością w swej pracy na niwie Pańskiej. Wszystko jednak blednie wobec masowego przejścia na łono Kościoła całego zakonu Benedyktynów i Benedyktynek anglikańskich w Caldey wraz ze swoim Opatem. Kardynał Murne mógł prawdziwie być dumnym, kiedy posyłał o tem sprawozdanie do Rzymu, a jego bazylika, gdy zostanie odnowioną, będzie najpiękniejszym kościołem nietylko w Anglii, ale na całej kuli ziemskiej, świadcząc swym ogromem i pięknością o żywotności Kościoła św.

Ktoby o tem nie wiedział, ten łatwo się przekona o hojności katolików angielskich, przeglądając bogate ich donacye na ten Dom Boży — na czele ich stoi jeden z najbogatszych parów angielskich lord Norfolk, który równie jak jego kuzyn, hr. Cramer-Klett, jest wielbicielem Zakonu św. Benedykta. Jak wszędzie, tak i w Anglii postępuje Kościół katolicki bardzo roztropnie i powoli, co zupełnie jest naturalnem w kraju, gdzie jest mniejszość katolików. Nie mniej jednak raz po raz tu i ówdzie jakaś posiadłość ziemska przechodzi w ręce katolickiego duchowieństwa. Zdobycze jego w dziedzinie moralnej są jeszcze znaczniejsze, bo Kościół św. w Anglii tak hojnie wspierany przez swoich wyznawców, opanowuje z wolna wszystkie dziedziny życia społecznego, a w pierwszym rzędzie wychowanie młodzieży.

Zkąd szopka?

Szczególniejszym czcicielem Dzieciątka Jezus był święty Franciszek z Assyżu. Na trzy lata przed swą śmiercią wpadł na piękną myśl: w pobliżu Kastrum Grecyi (Castrum Graecii) dla uzmysłowienia Bożego Narodzenia tak zwaną szopkę zbudować. Uzyskał sobie w tym celu pozwolenie Ojca świętego i zabrał się do swego dzieła, noszącego na sobie znamię dziecięcej pobożności. Wybrał sobie w tym celu miejsce w lesie i zbudował tam stajenkę, żłóbek i ołtarz. W żłóbku leżała figura Dzieciątka Jezus, nadzwyczaj pięknie wykonana, obok stała Najświętsza Panna ze świętym Józefem, dalej pastuszkowie, a nad stajenką unosił się chór Aniołów.

Całą stajenkę jasno oświecił i zgromadził wszystkich braci zakonnych; zbliska i zdala zebrał się tłumnie lud pobożny, aby tę świętą noc wraz z zakonnikami na modlitwie i śpiewach pobożnych przepędzić. Jeden z kapłanów odprawił uroczystą Mszę św., święty Franciszek miał sam kazanie pełne świętego namaszczenia i natchnionego zapału, w którem z tkliwej miłości, Jezusa „chłopczyną z Betleemu“ nazywał. Wszyscy zanosili się od płaczu i wzruszenia, gdy im opowiadał o miłości „biednego Dziecięcia“.

— Kochajmy przecież „Dziecię z Betleemu“ — zawołał — które, aby naszą miłość pozyskać, tak wielkie dowody miłości nam dało. Więc kochajmy je, oddajmy Mu miłość za miłość, miłość bez granic za nieskończoną miłość Jego ku nam.

To wzniosłe nabożeństwo powtarzało się corocznie z wielką pociechą ludu, tak, że chwalebny ten zwyczaj wkrótce się po całym świecie rozpowszechnił.

„5917“

Ktoś napisał książkę o „wielkiej wojnie“. Wszystko dokładnie i prawdziwie tam przedstawił. Wyłuszczył powody, opisał cały przebieg i skutki tej wojny. Ludzie z zajęciem czytali to dzieło; wielu chwaliło je sobie bardzo; znalazł się jednak ten i ów, który gderać począł. Stolarz narzekał, że pisarz nie podał, z jakiego drzewa był stół, na którym wygotowano plany do rozstrzygającej bitwy; szewc biadał, że nigdzie się nie doczytał, czy zwycięskie wojska miały trzewiki sznurowane, czy zapinane; krawiec znowu potępił dzieło, bo nie wspominało o liczbie guzików u płaszczy wojsk pokonanych; najwięcej zaś narzekał murarz: ów pisarz bowiem, przedstawiając straszne skutki uderzenia granatu w jakiś domek strażniczy, tak się wyraził: zakłębiło się jeno, a m i l i o n y cegieł, jak ziarna piasku rozsuły się po szerokim polu“. Te „miliony cegieł“, tak rozdrażniły murarza, że ową książkę „o wielkiej wojnie“ potargał, zdeptał, strzępy na śmietnik wyrzucił, a całe dzieło „wierutnem kłamstwem“ nazwał. Wszak na wystawienie domku strażniczego wystarczy kilkanaście tysięcy cegieł; a ów pisarz prawi o jakichś „milionach“...

I tak narzekali wszyscy na dzieło „o wojnie“, że nie pisze o guzikach, skórze i drzewie, a cegły na postawienie domku oblicza na miliony. I całą rzecz „kłamstwem“ nazwali.

A ci, co z boku stali i owe rozprawy słyszeli, rzekli: „głupcy, wszak to dzieło o wojnie prawi i nie jest podręcznikiem stolarskim ani murarskim!“

Tak się dzieje zawsze między ludźmi, ilekroć chodzi o jakąś sprawę, przedstawioną w Piśmie św. Zrywają się wtedy różni „uczeni“ i podobnie, jak ów szewc i murarz, chwyciwszy się jakiegoś szczegółu, nicują całość i wszystko kłamstwem nazywają. Słusznie też takim rzec można z ową gawiedzią: „głupcy, wszak Pismo św. nie jest dziełem przyrodniczem, ani podręcznikiem do nauki rachunków, ale objawieniem prawdy Bożej, dotyczącej spraw wiary i obyczajów!“

Tak na przykład powstają przeciwko Pismu św. różni mędrkowie dlatego, że „ono d a w n o ś ć ś w i a t a określa na 5917 lat“. Tak się bowiem czyta we wszystkich prawie kalendarzach, gdzie na pierwszej zaraz stronie „stoi“: „W roku 1917 upływa: 5917 lat od stworzenia świata, według rachuby, opartej na Piśmie św. 4261 lat od potopu.....“ i t. d.

I słusznie taki i owaki oburza się na owe „rachuby oparte na Piśmie św.“. Jakto — powiada — wszak nauka wykazuje zupełnie co innego. Historya powszechna mówi o Indach, Persach i Chińczykach już na trzy tysiące lat przed Chrystusem, a historya dawnych Egipcyan sięga jeszcze o tysiąc lat wcześniej. Pismo św. opowiada o Adamie w raju, a nauka udowadnia, że w tym samym czasie, Egipt był już zaludniony, miał swoich królów, swoje rządy, wojska, różne urządzenia społeczne i wysoko rozwinięty już przemysł. Stare zaś wykopaliska w Babilonii i Assyryi pochodzą z przed pięciu tysięcy lat przed Chrystusem. A według owej rachuby, rzekomo „na Piśmie św. opartej, Adam, ojciec całego rodu ludzkiego jeszcze nie żył. Więc jakże jedno z drugiem pogodzić!“

Zaiste! trudna sprawa. Po wyjaśnienie trzeba by się chyba udać do tego pana, co owe kalendarze układa i „rachuby“ swoje „na Piśmie św.“ opiera. Można jednak naprzód konia z rzędem na zakład stawić, „iż taki „pan“ od kalendarza“ Pisma św. nigdy nie widział, a tem mniej jakoweś „rachuby na niem opierał“. Ów „pan“ pomieszał zdaje się Pismo św. ...z kantyczkami. Jest bowiem w kantyczkach jedna kolenda, w której się śpiewa:

„Ach witaj Zbawco, zdawna żądany,
„C z t e r y t y s i ą c e lat wyglądany!“

Pomieszało się więc biedakowi. Spraw religijnych niezbyt świadom, kantyczki za Pismo św., a ową kolendę za jakiś ustęp ewangieliczny poczytał i na tem wyrażeniu „cztery tysiące lat oczekiwany“ swoje „rachuby“ oparł. Do czterech tysięcy dodał obecny rok 1917 i wypadło mu 5917. Ucieszony dobrem rozwiązaniem zadania, nazwał je szumnie „rachubami“ i orzekł, iż świat, wedle orzeczeń Pisma św. 5917 lat istnieje! A naiwni ludziska tym jego „rachubom“ wierzą i potem przeciw wiarygodności Pisma św. powstają.

Tymczasem o dawności świata i latach istnienia człowieka na świecie Pismo św. nigdzie nic pewnego nie mówi. W księgach Mojżeszowych są wprawdzie w kilku miejscach podane lata różnych wydarzeń. Z tych lat obliczali żydzi dawność świata; według ich rachub, uporządkowanych dopiero w XI. wieku po Chrystusie, wynikałoby, iż świat istnieje dopiero 5678 lat.

Ale to są tylko obliczenia żydowskich rabinów.

Kościół katolicki atoli nigdy nic stanowczego o tem nie orzekał.

Czemu? Przecież to takie ważne!

Ważne dla nauki świeckiej, ale nie dla wiary. Dla wiary jest to tylko ważne, że świat nie jest wieczny. Dlatego też w Piśmie św. jest napisane: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię“. (Gen. 1. 1.) Pismo św. nie mówi więc k i e d y Bóg stworzył niebo i ziemię, nie podaje lat, ogranicza się tylko na ogólnikowem powiedzeniu „na początku“. Snać to zatem dla wiecznego dobra człowieka owa wiadomość k i e d y świat został stworzony zgoła nie potrzebna. Inaczej, byłby ją Bóg ściśle objawił.

Tak też pojął tę sprawę Kościół święty i ścisłemi dociekaniami, k i e d y świat został stworzony nigdy się nie zajmował. Właściwe księgi Mojżeszowe, przez niego samego napisane zaginęły. Zostały się tylko odpisy. W tych zaś odpisach podano owe lata różnie i trudno określić jak je właściwie podał Mojżesz. Nie można zatem na nich opierać ściśle rachuby lat istnienia świata.

Nie uwłacza to jednak bynajmniej powadze Pisma św. Nie jest ono ani księgą historyczną, ani też przyrodniczą i natchnienie Boże, które je przenika, strzeże w niem tylko tych rzeczy, które się ściśle do prawd wiary i obyczajów odnoszą. Zresztą posługuje się ono pojęciami czasu, w którym powstało. Ówcześni zaś pisarze badaniami historycznemi i przyrodniczemi wcale się nie zajmowali. Przedstawiali prawdę Bożą, a o reszte nie dbali.

Nieprawdą zatem jest, jakoby według rzekomych „rachub, na Piśmie św. opartych“ świat miał istnieć dopiero 5916 lat. Pismo św. mówi tylko, że świat miał początek, a królem tego świata uczynił Bóg człowieka, którego obdarzył rozumem. Tym rozumem niech docieka człowiek, kiedy był ów „początek“.

Ale czy docieknie kiedy?

Ostatnia modlitwa.

Wiadomość o wojnie w nocy dotarła do spokojnej wioski. Kiedy rano pobudzili się mieszkańcy, już wieść ta straszna, jak błyskawica, biegła z końca do końca. Wychodzili wszyscy z domów, przystawali gromadkami

na drogach, spoglądali w różne strony świata, jakgdyby chcieli zobaczyć tę wojnę.

A ci, których wzywano pod broń, mieli już tego dnia stawić się w miejscu przeznaczenia. Kilka zaledwie godzin czasu pozostało im do własnego rozporządzenia.

Trzeba było cokolwiek przygotować się do drogi. Z płaczem uwijały się matki i żony, ale robota wypadała im z rąk.

„Na wojnę pójdzie, pewnie go już więcej nie ujrzymy! Co my tu sieroty poczniemy bez niego!“.

Dzieci płakały rzewnie.

A tym, których wołano pod broń, jakby na chwilę serce zamarło w piersi, stracili czucie, byli ogłuszeni, nawet nie mogli płakać.

Pierwsza myśl, jaka owładnęła nimi, była ta, by pójść do kościoła, oczyścić duszę z grzechów i pojednać się z Bogiem.

Spieszyli tedy do kościoła gromadą, ale nie tak, jak zwykle, bo prawie nic nie mówili do siebie. Dawniej rozgwar wesołej pogawędki napełniał drogę; dziś jakieś złowrogie przeczucie targało wszystkich za serce.

„Może po raz ostatni idę tą drogą, którą wydeptali moi dziadowie i pradziadowie? Tędy ich wieziono na cmentarz, a ja gdzie się obrócę?“ — Tak dumał każdy po drodze.

Ksiądz proboszcz słuchał spowiedzi od świtu. Garnęła się wiara, a on słuchał, pocieszał, dawał rady i rozgrzeszał, a co chwilę ocierał z oczu łzy; bo oto jego owieczki miały iść w daleki, nieznany świat na śmiertelną tułaczkę.

Skończyła się spowiedź, przystąpili wszyscy do Stołu Pańskiego. Ciężkie westchnienia wyrywały się z polskich, chłopskich piersi. Może po raz ostatni krzepili ducha Chlebem Żywota. Obfite łzy, jak perły toczyły się po wypogodzonych i trudami pooranych obliczach. Słoneczko zaświeciło przez okno i przeglądało się w tych łzach gorących i pełnych troski.

W czasie Mszy św. organy grały tak żałośnie, jak nigdy jeszcze, a z ich tonami mieszały się szlochania, tu i ówdzie odzywające się między uczestnikami tej smutnej uroczystości. Podczas podniesienia rozległ się jednogłośny chór błagalny: „O zawitaj, zawitaj Zbawicielu Utajony, ratuj nas, przepuść, zmiłuj się nad nami!“.

Na końcu miało być błogosławieństwo. Drżącym ze wzruszenia głosem zaintonował ks. proboszcz suplikacye. Gromada podchwyciła pieśń i śpiewali wszyscy: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami... Od powietrza, głodu, ognia i wojny — wybaw nas Panie!“.

Śpiewaliby tak tę pieśń zawsze, byle nie było tej wojny. Nie wiedzieli jeszcze, co znaczy „wojna“, ale już teraz zrozumieli, jak piękną i potężną jest ta pieśń, którą śpiewali, jak dziwną moc ma w sobie modlitwa, zawarta w tej pieśni.

Żal im się zrobiło, kiedy się skończyły suplikacye, najbardziej tym, którzy tu po raz ostatni klęczeli i po raz ostatni śpiewali w swoim kościele.

Ksiądz proboszcz przemówił rzewnie do odchodzących. Żegnał ich od siebie, od parafii całej, od rodzin, przyjaciół i znajomych. Zachęcał do ufności w Bogu, do wytrwania w wierze św., oddał w opiekę Matki Najświętszej i Patronów polskich i życzył szczęśliwego powrotu... Tu jednak zatrzymał się chwilę, bo ból mu ścisnął serce z przeczucia, że nie wszyscy wrócą, a może nie wróci żaden... Wszyscy to odczuli i znów płacz tłumiony rozległ się po kościele.

Kiedy ksiądz proboszcz błogosławił Najśw. Sakramentem, cichy płacz i prośby, przemieniły się w głośny jęk i wołanie: „Panie, ratuj, bo giniemy“. Ukojeni na duszy, acz smutni, wychodzili wszyscy z kościoła.

Nikt nie zapomni tego ostatniego przed wojną nabożeństwa, ani ci, co poszli na wojnę, ani ci, którzy pozostali w domu. Ta ostatnia modlitwa, tak rzewna i gorąca, tak smutna i kojąca zarazem, będzie dla wszystkich balsamem pokrzepienia na późniejsze, cięższe czasy.

Spieszyli wszyscy do domu, bo już za kilka godzin musiał każdy powołany być gotów do drogi.

Ostatnie pożegnanie w domu rozdzierało serce.

Dzieci rzucały się do kolan ojców i nie chciały ich puścić z domu, ojcowie i matki drżącemi rękami obejmowali synów, bracia i siostry nie mogli pojąć, że to już ostatnie chwile i że wkrótce tęsknić będą za bratem.

U Bartłomieja Garstki smutniej było, niż gdzieindziej, bo tu odchodził na wojnę ostatni syn, który pozostał w domu. Inni synowie już bowiem byli na swych gospodarstwach, a ten najmłodszy Wojtuś, był przy rodzicach, jako ich pomoc i pociecha w starości.

Nieubłagana wojna i jego wyrwała z domu, a starzy rodzice musieli pozostać sami.

Wojtuś był z innymi w kościele na ostatniem nabożeństwie. Wyspowiadał się, przyjął Komunię św., modlił się dobrze i uspokojony wrócił do domu. Kiedy rodzice płakali, umiał ich pocieszyć uwagą, że Pan Bóg rządzi wszystkiem i że z jego najświętszą Wolą zgadzać się należy.

Słowa dobrego syna trafiły do serca rodziców, bo się uspokoili i nie narzekali.

Wojtuś był już gotów do podróży. Wziął do podróżniczej torby pożywienia tyle, ile było potrzeba, matka mu dała nowy szkaplerz, różaniec miał w kieszeni, bo go zawsze nosił z sobą; ojciec dał mu pieniędzy i już mieli wsiadać na wóz, kiedy sobie matka przypomniała że Wojtuś zapomniał zabrać książeczkę do modlenia. Wyniosła mu ją tedy i poleciła, by ją zawsze nosił w kieszeni na piersiach. Wojtuś się ucieszył, bo lubił się modlić z tej książeczki. Były tam piękne modlitwy i pieśni nabożne. Podziękował jeszcze raz dobrej matce za wszystko, ucałował jej spracowane ręce, ona go pobłogosławiła jeszcze raz, ojciec podciął konie i pojechali. Matka stała długo na drodze, Wojtuś się oglądał co chwila i kłaniał się matce czapką, aż znikł na zakręcie.

Kiedy Wojtuś zjawił się w Tarnowie, już pełno było ludzi z różnych stron. Spotykał znajomych ze wsi, którzy wcześniej przyjechali. Od wielkiego ruchu i wrzawy prawie stracił głowę. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, co go czeka.

Za kilka dni był już w mundurze wojskowym i mieszkał w koszarach. Wieczorami po ćwiczeniach śpiewali wszyscy nabożne pieśni. Wojtuś miał dobry głos i dużo pieśni w książeczce, wkrótce wszyscy się poznali na nim i on musiał zawsze zaczynać.

Skończył się czas ćwiczeń, kompania Wojtusiowa wyruszyła w pole. Z ochotą poszli wszyscy za Wisłę, bo im przyświecała nadzieja, że wypędzą Moskala z ziemi polskiej.

Rozpoczęły się ciężkie czasy — jak na wojnie: marsze, zasadzki, kopanie rowów, rozciąganie drutów. Nieraz przez kilka dni musieli pozostać w linii, bo nieprzyjaciel niepokoił i nawet pożywić się nie było czasu. Anioł śmierci coraz częściej nawiedzał kompanie, w której służył Wojtuś. On sam już kilka krzyżów postawił

towarzyszom na mogile. Na każdym napisał imię i nazwisko poległego.

Przyszedł rozkaz, że za dwie godziny będzie ogólny szturm; wszyscy mają być gotowi. Wiedzieli już wszyscy, że szturm to nie igraszka; zawsze się mniej wracało po szturmie.

Wszystko już było gotowe. Żołnierze czekali na hasło do ataku. Ten i ów zaczął się modlić w okopach — polecał duszę Bogu, bo nie wiedział, czy wróci. Słychać było uderzenia w piersi i słowa: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu“.

Wojtuś wydobył książeczkę z zanadrza, oparł się na karabinie i odmówił modlitwę do Matki Najśw. Co dzień mówił tę modlitwę. Kiedy skończył, chciał schować książkę. Zobaczył to sąsiad i poprosił o książeczkę. I on odmówił modlitwę. Zobaczył to trzeci i on też chciał się pomodlić z książeczki. Szła tedy Wojtusiowa książeczka wzdłuż okopów z rąk do rąk i cała kompania modliła się z niej. Wreszcie powróciła do Wojtusia. Ostatnia modlitwa ognista, jak prąd elektryczny, przeszła po wszystkich...

Padł rozkaz. Runęli do szturmu i zwyciężyli. Na zdobytych nieprzyjacielskich okopach znów chcieli się modlić z Wojtusiowej książeczki. Wydobył ją Wojtuś z zanadrza i o dziw — znalazł w niej kulę moskiewską, która dlatego do serca nie doszła, bo utknęła w książeczce... Wojtuś, uniesiony wdzięcznością, zaintonował: „Boże w dobroci nigdy nieprzebrany“ — i śpiewała cała kompania, a echo rozlegało się daleko, aż śpiewać zaczęły i inne kompanie.

Wielką jest potęga modlitwy.

(„Lud Katolicki“. B o r z ę c k i).

Rozumny lekarz.

Ludwik, landgraf Turyngii, choć wiele miał zalet ducha, prowadził jednak życie bardzo występne i okazywał się głuchym na wszelkie upomnienia swych szczerych przyjaciół. Gdy mu ci przedstawiali, żeby się przecież nad tem zastanowił, iż go takie życie wtrącić może w wieczną zgubę, gdy mu przypominali o karzącej sprawiedliwości Bożej, odpowiadał im niemniej przewrotnie jak bezbożnie:

— Bóg już od wieków wszystko nieodmiennie i mocno postanowił. Jego postanowień nic zmienić nie zdoła. Jeśli więc Bóg postanowił, abym był zbawiony, to mogę tyle złego czynić, ile mi się podoba, a przecież nieba nie stracę; jeśli zaś Bóg postanowił mnie potępić, to mi nic nie pomogą moje dobre uczynki do osiągnienia szczęścia wiecznego. Dlaczegoż więc miałbym unikać złego, a czynić dobre, kiedy ani złe, ani dobre do nieba mnie zaprowadzić nie może?

Tak mówił ów zaślepiony, jak gdyby już wtenczas Kalwin swoją bezbożną i bluźnierczą naukę o bezwarunkowem przeznaczeniu był wynalazł.

Zaślepienie jego, miasto się umniejszać, rosło coraz bardziej i zdało się być nieuleczalnem tak, że przyjaciele jego byli bardzo strapieni. Między nimi znajdował się lekarz, człowiek uczony, mądry i bardzo bogobojny, który boleśnie odczuwał smutny stan duszy swego pana, i zaufania, jakiem się szczycił, nieraz chciał użyć, by go do upamiętania przywieść — ale zawsze daremnie. Wtem Bóg sam wdał się w tę sprawę. Landgraf zapadł w ciężką chorobę, która go mogła o śmierć przyprawić. Wezwano lekarza, który przyszedłszy, ujrzał chorego w najwyższym stopniu gorączki, wijącego się w najgwałtowniejszych cierpieniach na łożu boleści. Chory opowiadając mu swój stan, nakazuje, aby go jak najspieszniej ratował. Lekarz użył tej chwili, by swego pana najpierwej na duszy uleczyć.

— Szlachetny Panie — rzekł — pan nie potrzebujesz żadnego lekarstwa.

— Jakto? — odrzekł chory — czyż nie widzisz, żem jest bardzo chory i osłabiony?

— Tak jest, mój panie — jesteś niebezpiecznie chory.

— Czyż choroba ma się sama od siebie uleczyć?

— To nie — ale moje lekarstwa cię nie uleczą. Bo albo Bóg postanowił, że Jego Miłość umrzesz z tej choroby, a w tym razie nie pomogą ci żadne lekarstwa; albo postanowił, abyś wyzdrowiał, a w tym razie i bez lekarstw wyzdrowiejesz!

Landgraf, który jeszcze nie spostrzegł podstępu lekarza, zniecierpliwił się i rozgniewany rzekł:

— Czy spełnisz ty twoją powinność?! Czy nie wiesz, że Bóg także postanowił, abym pewnych lekarstw używał, jeśli chcę wyzdrowieć? Ty tylko użyj twej sztuki, a zostaw Bogu to, co On postanowił.

Takiej odpowiedzi czekał tylko lekarz.

— Przebacz, łaskawy panie — rzekł skromnie. Ty mniemasz, że silne lekarstwo może się przyczynić do ocalenia twego życia, pomimo postanowienia, jakie Bóg uczynił o życiu i śmierci twojej — a nie chcesz wierzyć, że dobre uczynki mogą się przyczynić do tego, aby ci wieczne szczęście wyjednać? Czyż ciało i dusza nie są w ręku Bożem? To, co mówię o leczeniu ciała, stosuje się także do ocalenia duszy. Bóg postanowił powrócić zdrowie ciała, jeśli stosownych lekarstw użyjesz — tak samo postanowił zbawić twą duszę, pod warunkiem, że duchowych środków pokuty i dobrych uczynków użyjesz.

Tak mówił rozumny i zacny lekarz; a słowa jego trafiły do serca landgrafa. Wszedł w siebie, a że miał umysł bystry i przenikliwy, uznał, że kto na jedno przystaje, co się tyczy ciała, ten także i drugie, co się tyczy duszy, przyznać musi. Przyznał zatem szczerze lekarzowi słuszność. Ten tedy czemprędzej zadał mu najskuteczniejsze lekarstwo, i za Boskiem błogosławieństwem miał tę wielką pociechę, że ujrzał landgrafa i na ciele i na duszy uleczonym.

Z tego przykładu poznać możesz, że choć Pan Bóg wie od wieków, czy będziemy zbawieni, czy nie, to jednak zawsze zostaje w naszej mocy zbawić się, albo nie zbawić, stosownie do tego, czy zechcemy z łaską Bożą współdziałać, czy się jej sprzeciwiać.

Do naszych Czytelników.

Z powodu wielkich trudności technicznych i chwilowego braku papieru, numer obecny dochodzi do rąk Szanownych Czytelników ze znacznem opóźnieniem, co nam Szanowni Czytelnicy łaskawie zechcą przebaczyć.

Zawiadamiamy Szanownych Czytelników, że mamy na składzie nową oprawną książeczkę: „Cztery Ewangelie w jedno złączone“ za zniżoną cenę 1 K 80 h, z przesyłką pocztową 2 K. Wysyłkę uskuteczniamy tylko za gotówkę, którą należy nadesłać wprost do Administracyi „Siewu Polskiego“ w Krakowie, ul. Franciszkańska 3.

WYDAWCA: KS. KAROL NIEMIEC. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.